

eustachy  
**rylski**

człowiek  
w cieniu

Psychologiczny  
majsterszyk  
w formie  
kryminału

eustachy  
rylski

człowiek  
w cieniu

 WIELKA LITERA

# Spis treści

Karta tytułowa

I

II

III

IV

V

VI

VII

Karta redakcyjna

# I

Rański wiele sobie po tej podróży obiecywał. Każda podróż wzbudzała w nim mniej lub bardziej sprecyzowane oczekiwania i każda w jakiejś mierze je spełniała, ta nie spełniła żadnych. Tak mu się przynajmniej zdawało podczas jej trwania i długo po niej.

Matka Wołga okazała się martwa.

Wypełniona wodą ponad swoją miarę, ponad swoją naturę i ochotę, spływała za szybko, brutalnie rozpartym korytem, bez śladu kaprysu, nostalgii, dzikości, bez śladu, tak sądził, rosyjskości, jałowa i niezmienna jak jej brzegi.

Zachodni wysoki, piaszczysty, bezleśny, wschodni niski, bagienny, nieprzerwanie zarośnięty splątanymi krzakami, nad którymi melancholijnie snuły się wilgotne opary.

Wyż astrachański, który podobno od końca maja stawał jak drut na Powołżu, aż po Kazań, tego lata zawiódł.

Było wietrznie, deszczowo, dokuczliwie zimno.

Towarzystwo na pokładach nieciekawe. Polsko-rosyjski żywioł handlowy, umundurowany w laminowane dresy, adidas i zadrukowane podkoszulki, banalny w swej irytacji związanej z niepogodą i w oczekiwaniu jakichś szczególnych, nie bardzo zresztą wiadomo jakich, atrakcji, które miałyby w zamian być im dostarczone.

W Rosji w tym czasie z wódką było krucho. Niekonsekwentna, imperialnie ostentacyjna lub tchórzliwie przyczajona prohibicja zrobiła jednak swoje. W tym względzie rzeczny statek „Friedrich Engels” był enklawą wolności i dostatku. Na wszystkich pokładach otwarte od świtu do nocy, a potem już przez całą dobę kioski, zwane na wyrost barami, oferowały rosyjską wódkę, mołdawskie wina, kaukaskie koniaki za śmieszne pieniądze. Udogodnienia związane z alkoholem były jedynymi, na jakie można było liczyć, ale też ich

gama, by nie rzecz – głębia, w miarę trwania podróży rekompensowała wszelkie niedogodności, niewygody czy wręcz afronty, jak na przykład sztywną i absurdalną porę śniadania, siódmą rano, skojarzoną z niezmiennym jadłospisem: cienką kawą, gliniastym pieczywem, niemieckimi serkami z wtopioną weń folią, z której nie można było ich obrać, i połową butelki zmrożonego na kość szampana unicestwianego gdzieś potem w zaciszu kabin.

Serwowali to kelnerzy młodzi, dobrze zbudowani, zręczni, lecz obcesowi, niekryjący niechęci do obsługiwanych, naznaczeni tym rosyjskim, a może tylko radzieckim poczuciem nieusprawiedliwionej wyższości i niższości zarazem. Trzeba przyznać, że wraz z upływem dnia zmieniali się na lepsze. Wieczorem na dansingu, a bywało, że już przy kolacji, niektórzy z nich stawali się wręcz przyjacielscy, wyzwalając się z toksycznej mieszanki knajackiej chytrości i azjatyckiego dostojeństwa. Bratali się z obsługiwanymi, przymawiali żartami i docinkami, poklepywali po ramionach, przypijali, zapamiętywali imiona i otczestwa, by w kilka godzin później, w ogromnej sali katowanej mimo niepogody lodowatym nawiewem huczących klimatyzatorów, ołowianym spojrzeniem przygwoździć swoich gości do owalnych stołów, nim rozkolebanym krokiem podeszli do ich krawędzi, by w nieuprzejmym milczeniu podać to, co zawsze.

Rejs trwał już piąty dzień. Zamiar Rańskiego, by odwiedzić stare nadwołżańskie miasta, rozmywał się w nieustępującym deszczu. Jak na razie, poza Togliatti, nowym i już śmiertelnie wyczerpanym, dotkniętym wszystkimi radzieckimi plagami miastem, nie zobaczył niczego. Rzeczny statek, wielki jak lodowa góra, zatrzymywał się przy nabrzeżach, za którymi na wzgórzach lub na równinach, bliżej albo dalej, kusiły urodą kopuły cerkwi, kolumnady rządowych rezydencji, drewniane domki zatopione w leszczynowych ogrodach, wszystko to zresztą splugawione dymiącymi kominami fabryk i wielkopłytowymi osiedlami. Rańskiego pociągała zarówno rosyjskość, jak i radzieckość tych miast, ale po godzinnym mniej więcej postoju „Friedrich Engels”, nie zabierając pasażerów, nie uzupełniając paliwa ani prowiantu, odpływał od brzegu równie bezsensownie, jak do niego

przybijał.

Kiedy o mglistym, lodowatym świcie statek zawinął do portu w Syzranii, a po śniadaniu, nie rzucając trapu, odpłynął, Rański zapytał ruchliwego kurdupła, spełniającego rolę, jak się okazało, raczej agenta handlowego niż przewodnika, o przyczynę tej niegościnnosci.

– Nie było po co – grzecznie odpowiedział agent.

– A w Togliatti? – zirytował się Rański.

– W Togliatti był towar – odpowiedział agent jeszcze grzeczniej. Wykręcił się na pięcie i odszedł, utwierdzony pewno w przekonaniu, że w każdym rejsie trafi się jakaś menda, z którą nie wiadomo, co począć.

W istocie to samo musiał sobie pomyśleć samotny sąsiad Rańskiego przez ścianę kajuty, gdy przy butelce armeńskiego koniaku zapytał młodego człowieka o cel wołżańskiej wyprawy.

– Zamierzam zwiedzać – odpowiedział Rański.

– Co mianowicie? – zapytał kompletnie zaskoczony sąsiad.

– Co się da.

– Ale pan tego nie robi.

– Bo mi się to uniemożliwia.

Poznali się tydzień temu na Dworcu Kazańskim w Moskwie, na swój sposób polubili i poprosili o sąsiednie kabiny na statku. Podczas dwudziestogodzinnego oczekiwania na pociąg nad Wołgę, w jednym z przepastnych tuneli dworca, owiewani hulającymi na wszystkie strony przeciągami, dawali sobie krótkie zmiany w pilnowaniu bagaży, których wtedy w Rosji, z wiadomych względów, nie należało deponować w przechowalniach. Przypatrywali się wpływającym do tuneli potokom szarych, zmęczonych i rozdrażnionych ludzi, wśród których plebejską urodą, fantazją i zadzierzystością wyróżniali się podchmieleni marynarze trzech flot z patelniami czapek zawadiacko zsuniętych na potylicę.

– Dopóty Rosji, dopóki tych zuchów – powiedział właśnie poznany niewysoki pięćdziesięciolatek, w binoklach na stalowym łańcuszku, upozowany na stołypinowskiego inteligenta. Mówił krótką, rwaną ruszczyzną, jaką posługują się czasem mieszkańcy Przedkaukazia, i Rański,

osłuchany z północną, jarosławsko-nowogrodzką frazą zapamiętaną przez matkę, frazą, której nie lubił i nigdy się nie nauczył, z przyjemnością przysłuchiwał się praktyczności języka, jakiego używał inżynier.

Bo tak się też przedstawił. Nie z imienia, otczestwa czy nazwiska, ale z zawodu, wręcz funkcji. Odbywa inspekcyjną podróż do Wołgi, a potem rzeką w dół do Astrachania, by skontrolować stan śluz, wind wodnych, umocnień i nadbrzeży na środkowym i południowym odcinku rzeki.

Rański wyraził przypuszczenie, że to bardzo odpowiedzialna misja, a inżynier stwierdził, że właśnie z tej przyczyny przez trzy tygodnie trwania rejsu odda się jej bez reszty. Opowiadał o dobrych technicznych genach wołżańskich konstrukcji, ich wrodzonym zdrowiu pochodzącym stąd, że stworzyli je budowniczowie wykształceni na cesarskich politechnikach, mając do dyspozycji tysiące niewolników z okolicznych łagrów, z których wysiłkiem, a więc i życiem, nie musieli się liczyć.

– Bo czas był lat trzydziestych – rzekł posepnie inżynier, a mętne spojrzenie za szklami binokli zabłysło na chwilę dziko.

Rański przeprosił go wtedy, poszedł do kibli na papierosa, a gdy wrócił, zanurzyli się w nieśpieszną rozmowę. Wspominam ją nie dlatego, by miała ona jakieś znaczenie dla opowiadanej historii, tylko dlatego, że nasz bohater czuł się w niej dobrze i bezpiecznie, co nie zawsze się zdarza. Mam na myśli rozmowy, które bywają odpoczynkiem od milczenia. Ale tego wietrznego, pochmurnego popołudnia, z przyczajonym na Wołdze deszczem, inżynier nie był usposobiony do żadnej rozmowy. Butelkę koniaku wypili w zasadzie w milczeniu. Rański, rozglądając się po zajmowanej przez inżyniera kajucie, naznaczonej już tym nieporządkiem, by nie rzec niechlujstwem, jakim potrafią nie z dnia na dzień, ale z godziny na godzinę otoczyć się samotni mężczyźni, nieporządkiem natychmiast podszytym brudem, zapytał go o nieobecność na posiłkach. Inżynier odpowiedział, że wymagałoby to mitręgi niewartej przyjemności. Musiałby się przecież ogolić, umyć, uczesać, prawdopodobnie ubrać, odczekać swoje przy stole z przypadkowymi współbiesiadnikami, dla których powinien być miły, a przynajmniej uprzejmy, a przede wszystkim musiałby wstać z łóżka. A na to nie ma

najmniejszej ochoty.

Tracąc tak niewiele, obywa się bez śniadania i obiadu, a kolację i alkohol donosi mu umówiony oficjant i, Bogu dzięki, czyni to dyskretnie.

– No, a pańska inspekcja? – zapytał Rański, odchylając się na miękkim, wygodnym krześle.

Inżynier odpowiedział posępnym spojrzeniem, po którego strunie spłynęło rosyjskie naplewatielstwo.

Czym on się w takim razie zajmuje, zastanowił się Rański, rozglądając się za jakąś książką czy gazetą, których obecność usprawiedliwiłaby w jakimś stopniu tę abnegację, ale niczego takiego nie dostrzegł.

Właśnie otworzył usta, by zadać to pytanie, gdy usłyszał odpowiedź:

– A pan?

No właśnie, tym, czym zawsze, to znaczy niczym.

Jakkolwiek wyglądałoby to z zewnątrz, życie Rańskiego upływało na niczym. Do trzydziestki uważał, że jeszcze na wszystko jest czas, po trzydziestce, że już na wszystko za późno.

Życie upływało mu na niczym i tak upływała ta podróż.

Pętała go niemoc, która jednocześnie nie wykluczała przyjemności. Można powiedzieć, że odczuwał ją intensywniej niż inni, ale przyjemność mijała i natychmiast, bez żadnego poślizgu, wpadał w otchłań niemocy i smutku.

Papieros, ładna dziewczyna, jedzenie, gdy był głodny, czasami alkohol, czasami trawka lub psychotropy, mniej czy bardziej racjonalny wysiłek fizyczny przywracały go życiu na chwilę, na moment, dając jakąś iluzję i szybko jej pozbawiając. Istotą melancholii, do której wracał, nie była cicha rezygnacja, filozoficzna zgoda na porządek rzeczy, ale bunt, tym bezsilniejszy, im mijająca przyjemność wydawała mu się bardziej bezpowrotna.

– Proszę brać przykład ze mnie – powiedział dwa dni później inżynier, gdy Rański zwierzył mu się ze swojego nastroju. – Rzecz polega na tym, by przyjemności przedłużać, wyszukując te, które poddadzą się takiemu oczekiwaniu.

Rański odpowiedział mu, że to nie jest możliwe, gdyż istotą przyjemności,



jakich doświadcza, jest ich przelotność. Przeklęta przelotność.

– Takie pan sobie wybiera, panie Aleksandrze; gdyby jednak zechciał pan wziąć przykład ze mnie... Od początku podróży nie wstaję praktycznie z łóżka. Nie czeszę się, nie golę, nie myję. Nie upijam się, ale też nie trzeźwieję. Zanurzam się coraz głębiej w świat bliższy snom niż rzeczywistości, mając nadzieję, że pozwoli mi on odkryć coś, czego nie jestem w stanie nawet się domyślić. Nieważne, na ile usprawiedliwiona jest nadzieja, ważne, że w nią wierzę i z tej wiary czerpię przyjemność, która będzie trwała tak długo, jak zechcę. Jak zechcę, panie Aleksandrze.

– To nie dla mnie! – przerwał mu gwałtownie Rański.

Spacerując po zamienionej w istny chlew kajucie swego sąsiada, zapytał ostro:

– Czy nie ma pan wrażenia, że to zanurzanie się, powolny dryf, to półtrzeźwe i półpijane lewitowanie w miarę upływu czasu zamienia spodziewaną przyjemność w oczywistą udrękę, kiedy doświadczamy upokarzającego prymatu ciała nad duchem? Kiedy przyznać musimy, że wzlot ducha jest niższy, a upadek ciała głębszy?

– To zależy od ciała – skwitował inżynier.

Nie da się ukryć. Miał nadspodziewanie dobre ciało. Niewysoki, suchy, barczysty, smagły, o małej, gotyckiej czaszce osadzonej na muskularnej, nietkniętej upływem czasu szyi. Nie była to powierzchowność, która rzuca się w oczy, ale im dłużej się ją poznawało, tym trudniej było doszukać się w niej jakiegoś błędu czy dysfunkcji. Rański miał wrażenie, że nawet od czasu do czasu brutalnie doświadczane kaprysmi swego właściciela ciało to jest konstrukcją ponad potrzeby urzędniczego życia i szarej, rodzinnej egzystencji.

Po cholere mu takie ciało, zastanawiał się nie bez zazdrości, porównując je z własnym.

Gdzieś na wysokości Wolska, kiedy nikt nie czekał już na poprawę pogody, pojawiły się dwa chłodne, ale słoneczne dni. Dwa tylko wprawdzie, bo przed Wołgogradem lunęło jak nigdy wcześniej, ale jednak.

Na statku zmienił się nastrój i sytuacja. O nastroju wiadomo, więc

spróbujemy opowiedzieć o sytuacji.

Od początku rejsu Rański miał podejrzenie, że oprócz podróżnych, których zna, spotyka i rozróżnia, są też tacy, których nie widuje.

Zaryglowana część trzeciego pokładu, niedostępna podróżnym, ale przecież odwiedzana siłownia, kilkustolikowa zona oddzielona od reszty sali jadalnej wyraźną przestrzenią, z zastawą sugerującą, że podaje się tu jedzenie wykwintniejsze niż reszcie, agresywny, prostacki, nieujarzmiony i na swój sposób porywający rock, dobiegający czasami przed świtem do kabin podróżnych, nie z dołu, gdzie gnieździła się załoga, ale z samego szczytu statku, wreszcie – niedefiniowalna, ale obecna atmosfera niedopowiedzenia i uciążliwej radzieckiej dyskrecji.

Wszystko to budziło w Rańskim wrażenie opresji, jakiej ten wielki i piękny rzeczny statek był poddany i z jaką się na swój sposób zmagają.

I nie mylił się. Słońce wywabiało podróżnych, których nie znał, na pokład. Było ich kilkunastu, zbitych w czambuł, na drewnianych leżakach.

Nie poddawali się żadnemu wspólnemu opisowi, gdyż na pierwszy rzut oka nie było niczego, co by ich łączyło. Bo to, że byli jakoś zwierzęco głodni słońca, tak głodni, że złamali zasadę, której podczas chłodu, wiatru i deszczu byli wierni, to można było dostrzec dopiero po jakimś czasie.

Więc każdy z nich był inny. Nie jednoczył ich strój, wiek, temperament. Być może wzbudzali respekt, gdyż nikt z pozostałych nie próbował się z nimi bratać, a monotonia podróży i jej nadaremność skłaniały do takich zachowań.

W kilka godzin później, gdy Rański przyniósł inżynierowi do kajuty keks i wodę, jego zamroczony alkoholem i nieustępująco przytomny sąsiad zapytał, czy cechą, która wyróżnia mężczyzn z trzeciego pokładu, nie jest przypadkiem stepowość.

– Stepowość? – Rański trącił stylizowany na Royal Navy barometr przytwierdzony do drewnianej ściany kabiny. – A cóż miałyby to znaczyć, teraz, u schyłku wieku?

Inżynier rozłożył ręce. Miał suche, wytrawione, nietknięte fizyczną pracą dłonie z artretycznymi palcami.

– Koczowniczość? Nieustającą włóczęgę? Chód nieludzki, mowę powolną? Ruchliwość, smagłość, pałkowatość?

Inżynier splótlł palce, aż trzasnęły kostki.

– A może aurę nieokiełznania, w której rodzą się i umierają ci ludzie, niezależną od przypadków, jakie niesie ze sobą życie, lub odwrotnie, łatwość poddania się każdej przemocy i nieograniczoną możliwość jej znoszenia. Cóż więc miałyby to znaczyć?

– Każde z osobna – odpowiedział inżynier – wszystko razem.

Po czym dodał, że miał na myśli również gotowość do okrucieństwa. Nie skłonność do okrucieństwa, bo tę od czasu do czasu nosi w sobie każdy, ale nieustępującą gotowość.

Nie spodobało się wtedy Rańskiemu to, co powiedział o podróżnych z trzeciego pokładu inżynier, a jeszcze bardziej nie spodobał mu się grymas oszpecający jego twarz i moment dzikiego spojrzenia zza szkieł binokli, spojrzenia, które zrujnowało do spodu całą inteligencką stylizację.

A jeżeli już o tym mowa, to drugiego lub trzeciego dnia rejsu Rański, tak bez okazji, powiedział inżynierowi, że z tą swoją suchą muskularnością przypomina mu trochę Iwana Bunina, i odniósł wrażenie, że jego sąsiad nie zrozumiał porównania.

Wtedy go to zdziwiło, dzisiaj zaniepokoiło, gdyż nigdy nie ufał mistyfikacjom.

Spojrzał przez zaryglowane okno.

Tor wodny prowadził teraz stroną wschodnią, ale piaszczyste skarpy zachodniego brzegu z powodu wielkiej przejrzystości powietrza widać było ostrzej niż kiedykolwiek. To spowodowało, że niemiła myśl o nieopatrzonym zobowiązaniu, jakie Rański podjął wobec matki, znowu zaczęła go nurtować.

Zobacz świt nad Wołgą, gdy wpłyniecie w stepy, poprosiła go matka. Zobacz i opowiedz mi o nim. Jak słońce wstaje znad Azji i podnosi się nad Europą. Zapamiętaj wszystko, co zobaczysz. Za Carycynem, dodała dzień później ciotka, rzeka gwałtownie skręca w lewo, by od Kamiennego Jaru już nieodwołalnie ruszyć ku Kaspijowi wśród piołunowych pól. Bo do Carycyna jeszcze się waha, jakby chciała to tu, to tam, jak to rzeka.

Rański pomyślał wtedy, że po dwóch dniach słonecznych może przyjść i trzeci, i gdyby jego sąsiad zdecydował się mu towarzyszyć, to on, tak niechętny rannemu wstawaniu, mógłby się przemóc albo, lepiej jeszcze, poczuwać wspólnie przy butelce armeńskiego koniaku lub kilku mołdawskich winach i wyjść na pokład o świcie, bez poświęcenia.

Ale inżynier nie był dobrze usposobiony i nic w trakcie ich rozmowy, a właściwie milczenia, nie zmieniło się na lepsze. Przeciwnie, Rański miał wrażenie, że jego sąsiad stężał w niechęci do czegokolwiek.

Jakaś stalowa struna, która niezależnie od okoliczności, jak się Rańskiemu zdawało, organizowała tego człowieka, napięła się i inżynier znieruchomiał niczym na nią nawleczony.

Binokle zawisły na łańcuszku. Źrenice skryły się pod powiekami. Długie, uwodzicielskie rzęsy zasłoniły cienie pod oczami. Dłoń zamarła na krawędzi stołu.

## II

Trzy miesiące później, w wypindrzonej willi na przedmieściu Warszawy, wrześniowego popołudnia, w dniu słonecznym i ciepłym, ale już jesiennie wiotkim, spoglądając na niemych posłańców, Rański przypomniał sobie mężczyzn z trzeciego pokładu.

Mimo zapachu lawendy i zadbanych paznokci, mimo koszul od Saint Laurenta, krawatów od Stapletona, mimo garniturów od Bossa i butów od Ranieriego czuć ich było dymem ognisk, końskim potem, źle wyprawioną skórą.

Milczący, blado uśmiechnięci, ostrożni.

Przy owalnym stole siedziało ich wtedy pięciu. Oprócz stepowych Rański, Sebek Pasławski i Gites. Sebek był pleczystym czterdziestolatkiem, w rozchełstanej na piersiach satynowej koszuli, z szeroką plebejską twarzą o rysach wyrażających chęć życia i użycia. Przy każdym gwałtownym geście, a nie skąpił ich sobie, srebrne bransoletki opadały dzwoneczkami na dłoń. Śpiewał niewyszkolonym barytonem.

Jamszczik, nie gani łoszadiej.

Siedzący po jego prawej, żyłasty, wilczy, z ogoloną do skóry czaszką, to Gites. Zrobił nadaremny ruch ręką, jakby chciał przypomnieć: człowieku, kurwa, zachowuj się.

Można było odnieść wrażenie, że kumpelska wymówka jest kontynuacją jakiegoś obsesyjnego oczekiwania, równie pewnie nadaremnego, jak ten gest sprzed chwili, tym bardziej że w oku śpiewaka zjawiła się łza. A to nie wróży nic dobrego.

Rański był spięty bardziej niż zwykle. Drżały mu ręce, a wraz z nimi końce noża i widelca. Twarz zbladła na płótno, a nos zaszklął się zimnym potem. Głowę ścisnęła rozżarzona obręcz, a stopy kostniały w zimnie. Nie spodziewał się niczego dobrego po sobie podczas tego wystawnego

i przeciągającego się obiadu, ale neurotyczność reakcji przekroczyła jego najgorsze przypuszczenia. Mimo to trwał w cierpieniu, nie tykając alkoholu.

Kak grusno, tosqliwo krugom, dalok biezotradiem maj put, a proszłoje kazetsa snom...

Śpiewak urwał. Łyknął koniaku, przetarł wargi serwetą, przeciągnął dłonią po obficie skropionych brylantyną włosach. Wyzwolił błazeńską łzę z oka, która spłynęła po policzku, i zapytał tych dwóch z naprzeciwka:

– Czemu nie śpiewacie?

Stepowi spojrzeli po sobie. Nie odpowiedzieli. Paślawski rozłożył ręce. Bransoletki umknęły z nadgarstków gdzieś w czeluść szerokiej koszuli. Zwrócił się do siedzącego po prawej:

– O co chodzi, Gites?

Zapytany uśmiechnął się niespokojnie. Przyłożył dłonie do wygolonej czaszki. Odpowiedział cicho.

– Odwalili kawał drogi, Sebek. Odwalili kawał sakramencko długiej drogi.

Zegar w głębi domu wybił piątą. Łagodny podmuch wiatru wwiewał firankę przepasaną kokardą w głąb jadalni. Rański poczuł na plecach chłód. Machinalnie zaciągnął na sobie marynarkę i zacisnął krawat. Był podobnie jak stepowi coraz szczelniej zapięty w opozycji do Sebka i Gitesa, którzy się coraz bardziej rozchełstywali, nieczuli na zaledwie letniość popołudnia podszytego późnym wrzeźniem.

– Wzięłem to pod uwagę – Sebek uśmiechnął się lubieżnie, przeciągając masywne ciało – wzięłem to pod uwagę, Gites, i dlatego przyjmuję ich lepiej niż kogokolwiek. Szanuję Witę Czeremyszkina i podejmuję jego chłopaków najgościnniej, jak potrafię. Jest żarcie, picie, jest muzyka. O co więc chodzi?

Gites westchnął i pochylił nad stołem łysą czaszkę.

Otwartą, ciężką dłonią Sebek przygarnął kumpla. Zapytał jowialnie:

– Dygasz?

Gites popatrzył na Rańskiego.

– Nie posądzaj mnie o to, Sebek.

– Więc kto dyga?

– Nie wiem, Sebek.

Pasławski spojrział na Rańskiego.

– Więc jest benka?

– Tego nie powiedziałem – rzekł po chwili Gites. – Ale nie dygam. Pamiętaj, żebym kiedyś dygał?

Pasławski jak wahadło przeniósł zaolejone spojrzenie na Gitesa.

– A rejent?

– Rejent to nie mój kłopot.

Rański poczuł, jak strużka lodowatego potu płynie mu od karku, wzdłuż kręgosłupa.

Gites skrył niedużą głowę w dłoniach jak szufle i dokończył.

– Chodzi o to, Sebek, że oni nie przyjechali się tu najeść.

– Zauważyłem – zgodził się Sebek.

– Ani napić.

– Zauważyłem.

– Nie przyjechali też pośpiewać.

– Dlatego brakuje mi tego wzruszenia – Sebek przymknął powieki.

Gites rzekł ostrożnie:

– Czas byłoby pogadać.

Sebek znowu zanurkował w romans. Śpiewał z niewątpliwym wyczuciem frazy i nastroju. Parodia samego siebie, do jakiej się podpuszczał, brała na moment górę, szybko jednak pochłaniana przez niepodważalną urodę materii i wykonania. Brakowało mu drugiego głosu. Przeszła koda, przeszedł refren, Sebek wyrznął otwartą dłonią w stół i powiedział bez złości:

– Kiedy czas na co, ja decyduję. W każdym razie w tym domu.

Odchylił się na krześle, wypiął brzuch i z niezapalonym papierosem uczeponym wargi oddał się sentymentom sprzed chwili. Mdła nitka nudy poczęła motać go w pajęczynę senno-pijackiego rozleniwienia.

Minął kwadrans. Rański złożył dłonie przy ustach. Gest był nieco pedalski, głos nieco drżący.

– Panie Pasławski, uważam, że powinniśmy ich wysłuchać.

Sebek odchylił się na krzesło, tak że jego głowa znalazła się w całości poza masywnym, rzeźbionym oparciem. Zapytał, błędząc wzrokiem po suficie:

– Chłopaków od Czeremyszkina? – zachichotał i przewalił się na stronę Rańskiego, tak że ten poczuł jego wielkie, rozgrzane jak piec ciało.

– Tego nie powiedziałem, panie Paślawski.

– A co powiedziałaś?

Rański zacisnął szczęki, aż pod gładko wygoloną skórą zamigotały gruzelki mięśni.

– Tak czy owak – rzekł Sebek – rejent nam się rozgadał. Jak rzadko.

Zaolejonym wzrokiem przyglądał się, jak Rański nerwowo zajmuje się jedzeniem, długo i uważnie układając na garbku widelca piramidę sałatki, i jak potem drżącą ręką niesie ją do ust, trzymając łokcie przy sobie.

– Co się tak męczysz! – wrzasnął.

– Słucham?

– Pytam, co się tak męczysz? – Sebek wskazał salaterkę. – Nie prościej załadować na widelec jak pan Bóg przykazał albo na łyżkę, albo, nie przymierzając, w garść i do ryja? O tak!

Nabrał dłonią sałatkę i wpakował ją sobie do ust. Posłańcy przypatrują mu się z zainteresowaniem, a potem przenoszą wzrok na Rańskiego. Ten pochylił głowę i odpowiedział uprzejmie:

– Nie sędzę.

– Co nie sędzę? – zapytał zaczepnie Sebek.

– Nie sędzę, żeby było prościej.

– Sędzę, nie sędzę – przedrzeźnił go Sebek. – Jak ja lubię takie gadki... Chryste Panie! Jak ja lubię takie gadki! Nie są sędzę...

Trącił Gitesa kułakiem w bok i zapytał:

– Czy rejent jest w porządku?

– O co pytasz, Sebek?

– Czy jest gościem z linii?

– Z jakiej linii?

– Czy jest, jak wy to nazywacie... czajerem?

– Już mnie o to pytałeś, Sebek.



– Jaka była odpowiedź?

Gites wtulił głowę w obłą, wąskie ramiona. Odpowiedział jak pies, który szczyrzy zęby, podkulając ogon.

– Że nie jest. Ale że to się zmieni.

– Kiedy?

– Kiedy przyjdzie pora.

Sebek wytarł dłoń z resztek sałatki o obrus i opierając się tą dłonią o pochylony kark kumpla, rzekł leniwie:

– Filozof z ciebie, Gites. Zawsze taki byłeś?

– Nie zawsze. Życie nauczyło.

Sebek obrócił rozwiązana alkoholem twarz i przeszył Rańskiego na wylot nagle oprzytomniałym spojrzeniem.

– Słyszałeś? Gites powiedział, żeś za miękki, ale że stwardniejesz.

– Nie zaprzeczam – odrzekł sucho Rański i wysupłał papierosa z pudełka leżącego na stole. Wtedy jeden z posłańców wstał ze swego miejsca, obszedł stół i w milczeniu podał Rańskiemu płomień ze złotej zapalniczki. Sebek zacisnął dłoń na serwecie. W jego oczach zabłyśły ognie rozdrażnienia. Rański zaciągnął się z ulgą. Powiedział:

– To sprawa obyczaju.

– Nooo! – Sebek zabębnił palcami po obrusie.

– I kwestia zasad – dodał Rański.

– Moralnych?

– Nie – odpowiedział Rański. – Mam na myśli normę. Normę, która ludziom określonej kategorii pozwala istnieć. Mam na myśli po prostu normę.

– Pieprzę ją!

– I pewien porządek.

– Porządek też pieprzę.

Twarz Sebka nie jest już jowialna.

– Pieprzę ten obyczaj, ten porządek i tę normę. Jestem od nich wolny. Nie krępuje mnie to. Nie ogranicza.

– To kwestia wyboru, panie Paślawski.

– Ten wybór też pieprzę!

Zanucił z błazeńską nostalgią:

Mnie niekuda bolsze spieszit...

Urwał z kantu. Potoczył złym wzrokiem po obecnych. Zatrzymał się na Rańskim.

– Widzę, że coś ci się jednak, kurwa, nie podoba...

– Nie, czemu – odpowiedział Rański, udając obojętność – jest jak zawsze.

Sebek wyjął niezapalonego papierosa z ust. Poobracał go między palcami. Nachylił się ku stepowym. Odczekał chwilę. Wsunął papierosa między wargi. Znów odczekał. Odchylił się od stepowych i cisnął papierosem za siebie. Rzekł ponuro:

– Nie jestem tego taki pewien.

– Dobrze, że to wreszcie zauważyłeś – odpowiedział mu jak echo Gites.

Rozpalona obręcz na czaszce Rańskiego stygła, zimny pot na plecach obsechł. Fala przyjaznego ciepła idąca od trzewi odblokowała gardło. Dłonie uspokoiły się. Kleszcze opresji nie puściły, ale zelżały.

Można było oddychać.

Sebek Paślawski uwalił się na stół. Rozrzucił na nim szeroko ręce. Przytulił twarz do obrusa i zaglądając od dołu kumpłowi w twarz, zapytał:

– Co chciałeś przez to powiedzieć, cwelu?

Gites odchylił się od stołu. Spojrzał w tę i tamtą. Odrzekł po dobrej chwili, jakby rozpamiętywał zniewagę.

– Że oni nie są od Witii Czeremyszkina.

– Nie są od Czeremyszkina? – Sebek wstał od stołu.

Obszedł krzesło, które zajmował. Oparł się o kwadratową poręcz i pokiwał się przez chwilę. Zapytał, nie bez trudu wyzwalając się z rauszu:

– A od kogo? Od kogo, Gites? Od Pana Boga?

– Nie wiem.

Sebek rozczapierzył długie, tęgie palce i chwycił w nie niewielką czaszkę Gitesa. Przygwoździł ją twarzą do stołu. Zadając kumpłowi ból, zapytał chrapliwie:

– A co wiesz, cwelu?

Gites mu nie odpowiedział.

– Z czym przyjechali? – Sebek zwrócił się do Rańskiego.

Rański rozłożył dłonie. Gorączkę z niego wymiotło, żołądek już nie tańczył, stopy nie kostniały w zimnie, nie płonęła głowa. Miał ochotę zmitygować współbiesiadników. Zaraz zwróci się z tym do Gitesa. Powie mu: bądź tak dobry, Gites, i nie miej żalu do swego szefa. Uprzedził go Sebek, który zwracając się nie wiadomo do kogo, wrzasnął:

– Kim, kurwa, są?

Żaden mu nie odpowiedział.

Sebek wrócił za stół. Popatrzył na posłańców, ci popatrzyli na Rańskiego, Rański nie spojrział na nikogo.

W głębi mieszkania zegar wybił szóstą. W ogrodzie odezwała się wilga.

– Słucham – powiedział Sebek.

W jego głosie nie było już sentymentu, błazenady, znudzenia, pijackiej dezynwoltury. Było w nim skupienie i niepewność.

– Słucham – powtórzył.

Rański znieruchomiał. Miał wrażenie, że w ciszy, jaka nastąpiła po pytaniu Sebka, słyszy zręczne kroki za swymi plecami, jak gdyby do pokoju, od antresoli, weszło niczyje, póki co, przeznaczenie. Był go ciekaw, ale się nie obejrzał.

Wilga już nie umilkła, Sebek się nie odezwał, kroki już się nie powtórzyły.

Spotkanie z blisko stuletnią Lubow Kiriłłowną było jak zwykle nieco bezładne, ale inspirujące.

Ze szlachetnym zamiarem podniesienia Rańskiego na duchu przypomniawszy mu, że wszyscy mężczyźni w rodzinie jego ojca okazywali się, koniec końcem, idiotami, a o rodzinie matki tylko dlatego nic podobnego powiedzieć się nie da, że nikt ich nie znał.

– Słyszałam jednak – syknęła starsza pani, przypalając jednego papierosa od drugiego – że twoja ałtajska babka, Fiokła, instrumentariuszka w leningradzkim szpitalu imienia Charkowskiej Parowozowni, odróżniała wyłącznie narzędzia chirurgiczne. Poza tym nic innego w życiu nie udało się jej odróżnić, o czym świadczyłoby jej małżeństwo z twoim dziadkiem

Iwanem, który sądząc z fotografii, przypominał wąsatego knura.

Pełna pogardy dla demokracji, opowiedziała też po raz któryś z rządu o swojej fascynacji somnambuliczną urodą prefekta Fortiego, którego impet zamienił gnuśne Benevento w przestrzeń zaludnioną krępymi, krótkonogimi postaciami wojowników odbywających swoje rytuały przy światłach pochodni, o tym, że weszli kohortami, tak jak zawsze wchodziła legia, od strony Apulii, o tym, jak miasto, z dnia na dzień, dostało się w żelazne kleszcze dyscypliny i porządku z wielkim dla siebie pożytkiem. Powiedziała też jak zwykle, że dom przy via Tornosa nigdy nie został zapisany Kościołowi, że konsul przyjaźnił się wprawdzie z klechami, znajdując w nich bliskie mu temperamenty i nastroje, niewyzwolony jednak nigdy z pogańskiej melancholii i inteligentnego sceptycyzmu.

– Poza zwierzętami nie zapisał nikomu nic – wykrzyknęła Lubow Kiryłłowna, machnąwszy przezroczystymi dłońmi – jak wiesz, rzadko przyznawałam mu rację, ale tutaj nie mogłam mu jej odmówić.

– Padre prosił – rzekł Rański – by o to przy okazji zapytać.

– Padre, padre... – przedrzeźniła go staruszka. – Co on ma z tym wspólnego? Na co liczy?

– Na powrót do Rzymu. Wszystko, co go zbliża do Rzymu, jest dla niego sprawą życia.

– To go nie zbliży – skwitowała Lubow Kiryłłowna.

Rański rozejrzał się po otchłannym wnętrzu tego zaniedbanego praskiego mieszkania. Było chłodne, ascetyczne, powściągliwe, niezagracone starością. Nieliczne rzeczy i sprzęty, które stanowiły jego wyposażenie, mimo widocznego zmęczenia były pierwszego szyku i sortu. Rańskiego szczególnie intrygował wychudzony harap poniewierający się zawsze po salonie raz tu, raz tam, jakby był w stałym użyciu, wytłuszczony bucharski szlafrok z ubiegłego wieku wiszący w przedpokoju, nogajski kindżał na ścianie i fragment strojnego czapraka dekorującego kanapę z jej przebijającymi się na wylot sprężynami, między którymi układał się olbrzymi wykastrowany kot. Mimo że Lubow Kiryłłowna spędziła blisko pół wieku we Włoszech jako żona konsula Bernecciego, a potem zamożna wdowa, nim nieroztropnymi

inwestycjami giełdowymi doprowadziła się do biedy, to więcej w tym mieszkaniu było Rosji, którą opuściła jako siedemnastoletnia dziewczyna, niż Paryża, Kampanii, Warszawy czy czegokolwiek innego.

A właściwie nie Rosji, myślał sobie Rański, a stepowej ziemiańskości, która z Rosją jego matki, Rosją północną, jarosławsko-nowogrodzką, nie miała wiele wspólnego.

Miał wrażenie, że oprócz papierosowego dymu czuć w tym mieszkaniu zapach prochu i spłonki, że rzeczy na zawsze przeszły wonią końskiego potu, że z mrocznego holu wynurzą się zaraz charty lub obojańskie ogary.

Czuł się tu dobrze. Przychodził często, nie dla wybornej kawy, maślanych ciasteczek, wysuszonych na pieprz ekstra mocnych czy rozmowy, ale dla tych chwil, kiedy mamy wrażenie, że zawłada nami pamięć życia, którego nie możemy pamiętać, ale które kiedyś przeżyliśmy i które, jakkolwiek na to patrzeć, było dotkliwsze, ważniejsze i bliższe niż przeżywane teraz. Tak mu się w każdym razie dotychczas wydawało.

Powiedział, że u niego w domu nie używało się słowa „gówno”, kiedy Lubow Kiriłłowna dorzuciła, że padremu gówno do tego, co konsul komu zapisał, przypomniał, że przekleństwem używanym, ale nie nadużywanym było słowo „cholera”, że nawet dziadek, zapiękły w swej niechęci do świata, nie pozwalał sobie na nic dosadniejszego.

– Oho, ho! – zawołała Lubow Kiriłłowna, a popiół z papierosa rozsmużył się po grubej, wełnianej kamizelce, z którą nie rozstawała się nawet w czasie upałów. – Bardzo podziwiałam Artioma Kiriłłowicza, jego piękną męską urodę, maniery angielskiego dżentelmena, odwagę poza wszelkie granice rozsądku, ale klął od dziecka jak woźnica. Wspominając idiotyzm Rańskich, myślałam w mniejszym stopniu o nim niż o naszym stryju na przykład, Kapitonie Timofieiczu, który na zjeździe gubernialnym potrafił zapytać: poczemu tak połuczajetsa, czto woda mosty moi smywajet...? Ale memu bratu też niczego nie brakowało, cymbał był z niego, aż dźwięczał.

W odpowiedzi Rański wspomniał jednak letniość, niezmienny motyw jego pamięci o dzieciństwie, biorącą swój początek z jakiejś niewidocznej skazy fizycznej, braku siły, werwy, impetu, co czyniło dom i ludzi go

zaludniających miłymi, przyjaznymi, przewidywalnymi, lecz martwymi. Wszystko było nużąco martwe, rzekł, delektując się kawą w cieniutkiej filiżance – aż do drewnianego, tu i tam polegającego płotu, za którym toczyło się pyskate życie, z którym miało się do czynienia tylko o tyle, o ile to było niezbędne. Tylko o tyle. Na co Lubow Kiriłłowna odpowiedziała, że ma już dosyć słuchania o tym, jak gnuśność ustroiła się w piórka subtelności.

To byłoby zbyt piękne, żeby było możliwe, pomyślał Rański, wyciągając się między drutami sprężyn na kanapie. Bezwiednie obracał w palcach tekińską czapkę, która niemiłosiernie poniewierała się po domu, ale nigdy nie zdarzyło się jej bezpowrotnie zginąć.

– Myślę, że się nie doceniasz, Aloszeńka – po długim milczeniu dodała Lubow Kiriłłowna. – Gdybyś zechciał uważnie na siebie spojrzeć, to nie dostrzeżesz, mimo największych wysiłków, żadnej szlachetnej ułomności, choroby, dekadencji, która miałaby cię wyróżniać. Zobaczysz natomiast jakąś podejrzaną, doprawdy, fantasmagorię, jakiś chłopięcy upór, by nastroszyć piórka i przycupnąć obok. Myślę, że się nie doceniasz. Ostatecznie całe twoje dotychczasowe życie świadczy o tym, że rozum służy ci w stopniu co najwyżej umiarkowanym. Wszystko jeszcze przed tobą, Aloszeńka, jakkolwiek próbowałyby cię atakować podstępna mądrość. Wszystko przed tobą.

– To znaczy, niby co? – zapytał Rański i się istotnie nieco nastroszył.

Lubow Kiriłłowna uśmiechnęła się tajemniczo w odpowiedzi, jak robią to ludzie udający, że wiedzą więcej, niż powiedzieli, i zapytała o dwór Trojekurowych w Samityńsku.

– Trojekurowych? – bezwiednie zapytał Rański. Sięgnął po maślane ciasteczko z wysokiej blaszanej puszki, z jakich kiedyś częstowano landrynkami, zastanawiając się, jak to się dzieje, że niewiele pewno młodsze od Lubow Kiriłłowny zachowały taką zdumiewającą świeżość.

– Tak, dwór magnatów Trojekurowych nie to, co naszych kurskich jednodworców... To stamtąd Artiom Kiriłłowicz wraz ze słowikiem dońskim, późniejszym atamanem Bogajewskim, wyruszyli na drogę męczeństwa i chwały. Co tam teraz jest? Pomnik, muzeum, tablica? Coś musi być.

– Nie wiem – jęknął Rański – nie widziałem go.

– Nie można go nie zobaczyć – rzekła surowo Lubow Kiryłowna – Trojekurowy tak go pobudowali, by każdy, kto płynie w górę czy w dół rzeki, lewym czy prawym brzegiem, zaznał jego wspaniałości.

Pochyliła lekko jak wydmuszka głowę i zastygła w oczekiwaniu.

Rańskiego nie opuszczała od pewnego czasu myśl o powtarzalności. Nie była to myśl miła ani niemiła, pochlebająca mu czy niepochlebająca, myśl, którą przywołuje się, by podnieść ducha czy się nad sobą uzalić, myśl bogata, rozpanoszona, idąca w awangardzie innych myśli, czy odwrotnie, osamotniona, przybijająca do brzegu jak puste czółno.

Była to w istocie myśl obojętna. Tyle że była.

Ale myśląc o tej myśli, przypomniał sobie fantom, który pojawił mu się przed wieczorem u końca wołżańskiej podróży.

Fantom, bo nie sen, tego był pewien, zjawił się w postaci grupy jeźdźców na krępych koniach, sądząc po wyszmelcowanych archałukach z aksamitnymi ładownicami na piersiach, zdziczałych jednodworców i ich dojeżdźaczy. Kompania wyciągniętym kłusem towarzyszyła przez czas jakiś statkowi, milcząca i posepna, by zniknąć w ugorach, tak jak się z nich wynurzyła.

Sprawiali wrażenie buszujących od tygodni po okolicy myśliwych, choć nie mieli broni ani psów. Pokazywali sobie statek. Rański miał nieodparte wrażenie, że wręcz okno jego kabiny. Jakby się zgubili w latach. Mimo kilkudziesięciu metrów, jakie w tym miejscu dzieliły wodny tor od wysokiego, zachodniego brzegu, Rański domyślił się podobieństwa podróżnych z trzeciego pokładu do mężczyzn, którzy odwiedzili Sebka Pasławskiego, a tych do konnej kohorty.

Nie widziałeś świtu nad Wołgą, zdawały się mówić wyblakłe, choć ciągle piękne oczy ciotki, piołunowych pól za Carycynem, dworu Trojekurowych w Samityńsku, to w jakiej sprawie płynąłeś rzeką?

Odpowiedział jej w duchu Rański, że nie wie, ale ma wrażenie, że nim nie spróbował rzeki, nosił się z jakimś zamiarem, którego nie może sobie przypomnieć.

Odpowiedział sucho, omiatając nieobecny spojrzeniem okno zasłonięte ciężką portierą:

– Dwór Trojekurowych minęliśmy nocą.

Artiom Kiryłowicz Rański był najmłodszym generałem w Rosyjskiej Armii Ochotniczej. I najmłodszym jej kombatantem. Wraz z Ławrem Korniłowem przebył udrękę wyprawy lodowej, w nierównych, morderczych walkach zdobywał Afipską, Ust-Dzegutinską, Tichoriecką.

Był przy nonsensownej śmierci Korniłowa pod Jekaterynodarem, potem już u Denikina jako dowódca batalionu szturmowego pomaszerował w rejon północnych stanic Kubania. Wojna domowa okazała się być żywiołem młodego generała i im bardziej była zacięta, okrutna i krwawa, tym bardziej ten potomek zubożałej i zdeklasowanej szlachty stepowej znajdował w niej przyjemność, a zatem i sens.

Kiedyś na przepełnionej ludzkim nieszczęściem stacji przeładunkowej przed Noworosyjskiem, w tumanach pyłu nawiewanego od Kaspija, zwrócił się do niego młodziutki podesauł Filip Siemionow z prośbą o zaprzestanie bestialskiej kaźni, jakiej poddano publicznie, dla przykładu, ale i dla radości, kilku żydowskich komisarzy wyłuskanych z bolszewickiego eszelonu.

Było to na tydzień przed brawurowym, zdumiewającym świat białogwardyjskim rajdem w górę Donu, Dońca i Dniepra i taka kaźń była jak kieliszek starki przed obfitym obiadem, jak kapturek czuszki, jak szczypta pieprzu, i niespełna trzydziestoletni generał dobrze to rozumiał i sam z siebie nie powstrzymałby spalonych na brąz, pleczystych kozaków z kaledinowskiej dywizji, ale ujęty czystym, dziewiczym, chciałoby się rzec, zdumieniem młodziutkiego oficera rozkazał, nie mając nikogo innego pod ręką, swojemu adiutantowi dostrzelić komisarzy ku wzbierającemu do granicy buntu niezadowoleniu rozdokazywanych kozaków.

– To, czemu w mym najgłębszym przekonaniu niesłusznie zapobiegliśmy – rzekł kwadrans później generał Rański, pochylając się nad drzwiami długiego jak linijka kabrioletu – jest nie mniej ważne niż odwaga i poświęcenie. Dlatego ta wojna jest tak niebezpiecznie piękna. Niechże pan zapamięta, do diabła! Niebezpiecznie piękna.



– Pan się myli, ekscelencjo – odpowiedział pokornie podesauł, ale Rański już tego nie usłyszał, spowity tumanem dagestańskiego pyłu i automobilowych spalin.

Jesień 1919 roku przerwała tę fiestę. Raz na zawsze. Raniony odłamkiem granatu w udo, leczył się w polowym szpitalu, w którym cudem jakimś rozpoznał w jednej z sanitariuszek swoją niewidzianą od kilku lat siostrę, Lubow.

Dzięki wrodzonej energii, urokowi, znajomości języków i niepospolitej urodzie udało się jej przetransportować brata za kordon i umieścić w przyzwoitym, polskim szpitalu w Łucku. Wyszedł z niego wczesną wiosną 1920 roku o lasce, z którą nigdy się już na dobre nie rozstał, ale z uratowaną nogą.

Laska nie czyniła go mniej efektownym, podobnie jak długa blizna idąca na przełaj od szczytu czoła do żuchwy, pamiątka po Mironowskiej szabli, jak delikatny, trochę drwiący, trochę smutny uśmiech, błakający się na jego suchej twarzy niezależnie od okoliczności. Podobał się kobietom, toteż na emigracji, w Polsce, utrzymując się z instruktażu walki na bagnety prowadzonego w siedleckim garnizonie, uwiódł prześliczną żonę nauczyciela miejscowego gimnazjum, która urodziła mu syna, ale przestraszona perspektywą niedostatku, wróciła skruszona do zakochanego w niej bez pamięci męża, pozostawiając generałowi niespełna dwuletniego Mikołaja.

Nie wychowywał go w miłości do nowej ojczyzny. Prawdę powiedziawszy, nie wychowywał go w miłości do nikogo ani niczego, nawet do samego siebie.

W Polsce brakowało generałowi przestrzeni, w synu, który dorastał w samotności, tymczasowości, umysłowym i fizycznym lenistwie, męstwa.

Bezskutecznie doszukiwał się w nim zapowiedzi natury Rańskich, jakiegoś śladu szaleństwa, odwagi, nienawiści, namiętności i nie znajdował niczego poza lękliwą obojętnością i podejrzaną w tak wczesnych latach mizantropią.

Przewrót majowy pogorszył sytuację generała.

Najpierw stracił pracę, potem nieliczne kontakty towarzyskie, gdy zaczął się oddawać knajpianym burdom z sanacyjnymi oficerami i nie ukrywać tego, co myśli o sanacyjnej hołocie.

Śmierć przyjaciółki, rosyjskiej tancerki kabaretowej, zgasłej na gruźlicę w jego ramionach, odczuł mocniej, niż mógł przypuszczać.

W reakcji na tę stratę wziął odwet na sobie, potwierdzając najgorsze opinie o rosyjskiej duszy. Pił na umór, ryzykownie grał w karty, próbował się nawet powiesić.

O Polakach wyrażał się obelżywie. Nie ruszał się jednak z miejsca, utrzymywany przez siostrę, która w Warszawie rozkochała w sobie młodego attaché włoskiej ambasady i została jego kochanką, a potem żoną.

Agger Bernecci był człowiekiem zamożnym i skąpym, ale Lubow dzięki wspomnianej już zaradności i energii znajdowała sposoby, by wytrząsnąć z męża trochę pieniędzy i wysyłać bratu. Przesyłane kwoty zwiększyły się na kilka lat przed wojną, gdy Agger Bernecci zaczął z powodzeniem romansować z faszystami, a Lubow uwolniona spod kontroli męża z równym powodzeniem inwestowała pieniądze na potężnej mediolańskiej giełdzie, dorabiając się całkiem przyzwoitego własnego majątku.

I tak jak generał nie kochał syna, tak Lubow nie kochała męża, jak generał nie lubił Polski, tak Lubow nie lubiła Włoch, oboje tęsknili za Rosją, jaką zapamiętali, podtrzymywali w sobie tę tęsknotę, oddani sobie, zainteresowani sobą, bezkrytycznie siebie wraz z wszelkimi fantasmagoriami akceptujący.

Wojny Lubow we Włoszech nie zauważyła, a generał ją przepił i przespał, zajmując w Warszawie wygodne mieszkanie.

Jego poniechany i osamotniony syn w czasie zamętu, zła, gwałtu i brutalności, w czasie upadku i spodlenia znalazł oparcie w organizacji, do której przypadkiem przystał, i był to najlepszy okres w jego nudnym, płóнным i lęklwym życiu.

Generałowi ten męski epizod w życiu Mikołaja może by się i spodobał, gdyby go zauważył.

Mikołaj więc nie miał żadnego świadka swojej umiarkowanej zresztą odwagi do maja 1944 roku, kiedy ich grupa wpadła.

Wtedy świadkiem, sędzią i przyszłym katem stał się Reinhold Münther, z którym żartów nie było.

Mikołaj przyznał się natychmiast do wszystkiego, sypał równo, nawet ponad spodziewania śledczych, po czym został wypuszczony dzięki interwencji majora Filipa Siemionowa z Rosyjskiej Wyzwoleńczej Armii, który powiadomił przełożonych Münthera, że chłopak jest synem generała Artioma Rańskiego, który nawyrzynał bolszewików więcej niż jakikolwiek rycerz Wehrmachtu, i coś mu się w związku z tym od Rzeszy należy.

Rzecz została skwitowana, a Mikołaj stał się bardziej obcy niż kiedykolwiek.

Żył w obawie przed ponownym aresztowaniem, przed zemstą ocalałych z wpadki współkonspiratorów, przed dociekliwością nowej komunistycznej władzy i ten lęk trzymał go w kleszczach przez całe dorosłe życie, i nawet spokój, dobroć i opiekuńczość żony, która trafiła mu się doprawdy jakimś cudem, nie zmniejszyła jego udręki.

Rodzina Swietłany pochodziła z Meklemburgii. Jej pradziad Konrad Brusche udał się na emigrację do Rosji w wyniku junkierskich rugów. Po drodze zatrzymał się w Polsce i założył w Siedlcach zakład rymarski. Syna Joachima, na ile to możliwe, wykształcił i, na ile to rozsądne, nauczył szacunku i lojalności wobec nowej ojczyzny, czymkolwiek by ona w połowie ubiegłego wieku była lub nie była. Nauka okazała się na tyle skuteczna, że Joachim przystąpił do partii, wziął udział w powstaniu, starł się w jakiejś potyczce z kozakami Jermołajewa, został ranny, uwięziony, osądzony i w listopadzie 1864 roku zesłany w głąb Rosji. Było w nim tyle porywczosci, brawury i romantyzmu, ile trzeba młodzieńcowi, i tyle praktyczności, by cechy te uczynić cnotami w wieku męskim. A trafił na czasy, w których Rosja jak żaden kraj w Europie, a może i w świecie, potrafiła odwdzięczyć się za uwagę i pracę jej poświęconą.

Joachim Brusche pracy się nie bał. W dziesięć lat po powstaniu był właścicielem dużego sklepu z galanterią skórzaną w Jarosławiu i mężem nieładnej, posępnej, ale zamożnej Niemki z Nadrenii. Miał z nią trzy córki i syna. Iwan Brusche dorastał w miłości i dostatku. Ani duży, ani mały, ani gruby, ani chudy, ani piękny, ni niepiękny, we wszystkim akuratywny, skończył medycynę w Petersburgu i trzy lata później rozpoczął praktykę

chirurgiczną w jarosławskim garnizonie. Tak zastała go wojna i obydwie rewolucje, które ku zdumieniu ojca poparł.

W latach Rosji Radzieckiej wiodło mu się nieźle. Pił pogodnie, śpiewał sprośne czastuszki, pasjami chodził na komedie z braćmi Marx, biesiadował po znakomitych rybnych knajpach północnej Rosji i umiarkowanie romansował. Zmobilizowano go na początku 1942 roku. Przez trzy lata wojny operował jak szalony, dosługując się stopnia majora i artretyzmu. Późną jesienią 1944 roku wylądował wraz ze swoim szpitalem w Siedlcach.

Zwiedzając miasto, trafił na zakład rymarski „Brusche i syn”. Bardzo się tym, prawdę powiedziawszy, rozculił nie wiadomo dlaczego, bo fakt, że jego przodek szył uprząż, nie niósł ze sobą nic szczególnie poruszającego. Tłumacząc się ze swojego stanu płowej dziewczynie, która go po wyszabrowanym zakładzie oprowadziła, powiedział, że to z powodu wojny unaoczniającej mu nietrwałość ludzkiego losu i ludzkich starań. W sześć miesięcy później płowa dziewczyna miała brzuch, a w dziewięć powiła syna, którego wracający wówczas z Niemiec major na cześć dziadka nazwał Konradem Adolfem mimo protestów rodziny dziewczyny i sugestii przełożonych, że to się czece raczej nie spodoba. I nie spodobało się. Majorowi cofnięto zgodę na czasowy pobyt w Polsce i odesłano do Jarosławia.

Ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło.

Iwan Brusche zainteresował się teraz losem swojej córki, owocem bardzo przelotnego romansu, jaki miał ze zmarłą podczas blokady Leningradu instrumentariuszką.

Wypełnił stos dokumentów, podpisał plik zobowiązań, najeździł się niemiłosiernie zapchanymi pociągami, dał co komu trzeba i odebrał Swietłanę z chołmskiego domu dziecka. Otoczył dziewczynkę czułą opieką, o jaką tego akuratnego w młodości, ale z upływem życia lekkomyślniejącego człowieka trudno było posądzić, a którą prowokuje w nas cudza bezbronność.

W biedzie, szarości i niebezpieczeństwach powojennej Rosji, podszytych prywatną, brudną jak gnój podejrzliwością i narastającym z miesiąca na miesiąc państwowym bestialstwem, Iwan Brusche zapomniał o swoim polskim synu i jego płowej matce.

Ale mu o nich przypomniano.

Wiosną 1948 roku wydano mu zgodę na czasowy powrót do Polski, zgodę, o którą zresztą nigdy nie występował, w formie tak ультymatywnej, że Brusche nie miał wyboru. Znowu dał co komu trzeba i zabrał ze sobą Swietłanę.

Codziennosc siedlecka w tym czasie też nie była pociągająca, ale mimo wszystko nie przypominała tej nikczemności, w jakiej utonęła zwycięska Rosja. Brusche to docenił. Postawiony tak wielkodusznie przed możliwością wyboru – wybrał. Zwrócił się z prośbą, by z powodu zasugerowanych mu zobowiązań rodzinnych wyznaczono mu również przewidywalną granicę czasową, która wykonanie tych obowiązków mu umożliwi.

By wiązać jakoś koniec z końcem, rozpoczął nieoficjalną praktykę ortopedyczną. Odpowiedź przyszła po roku, w czasie którego nie polubił ani zdumiewająco szybko chamiejącego syna, ani jego matki, a że zgody na pobyt stały nie uzyskał, więc zgoda na pobyt czasowy też została cofnięta.

W ciągu trzech dni zlikwidował praktykę lekarską, spakował się, nie bez przyjemności pożegnał Konrada Adolfa i wyjechał.

Na granicy w Brześciu przystojny, kulturalny i, miał wrażenie, współczujący mu rezydent NKWD poinformował go, że póki co, do ojczyzny ma wrócić sam, a córką tymczasem zajmie się kto inny.

Gdzieś na wysokości Smoleńska, podczas zlewanej deszczem i smaganej podmuchami lodowatego wiatru nocy, wprowadzono go do ostatniego, komfortowo urządzonego wagonu bez przedziałów i przesłuchano, tak trochę od niechcienia, na okoliczność ukrycia swego niemieckiego pochodzenia podczas służby w Armii Czerwonej.

Chirurga zdegradowano, pozbawiono medali i wysłano na wycinkę lasów do Komi.

Tak słuch o nim zaginął.

Tymczasem Swietłaną, wbrew obietnicy rezydenta NKWD, nie zajął się, w pierwszym odruchu można by rzec – na szczęście, nikt. Dobę przesiedziała samotnie w kotłującej się ludzką tołpą tranzytowej poczekalni i wytrenowana przez wojenne, radzieckie czasy w zaradności,

nieniekpokojona niczym zainteresowaniem wróciła do Siedlec. Na swoje nieszczęście i szczęście zarazem. Najpierw o nieszczęściu.

Jeżeli można sobie wyobrazić pannę trzynastoletnią, mniej więcej, bo Swietłana dzieckiem nie była nigdy, kruchą i wysoką, po rosyjsku odporną i po rosyjsku rzewną, o niedużej, kształtnej głowie, długiej szyi i sarnich oczach, a więc jeżeli można sobie wyobrazić chłopkę z guberni kurskiej albo orłowskiej, albo kałuskiej o imieniu Anfisa lub Akulina, którą sposobi do swego fraucymeru jakaś upiorna Marfa Jegorowna lub do swego teatru półszalony Jefim Jefimowicz, to można sobie wyobrazić Swietłanę Brusche. Bo była ona panną literacką z Puszkina, Turgieniewa, Bunina, a więc była i nie była. Jak mgła.

Jeżeli więc można ją sobie wyobrazić, to można też wyobrazić sobie udrękę, jaką stanowiło dla niej życie w przydzielonej jej rodzinie Sapielaków z siedleckiego przedmieścia. Zaczadzeni fobiami, tępi i lękliwi, pazerni i ordynarni, głupi i cwani, do pełna katolicy i do spodu pogańscy, zdemoralizowani okupacją, niejawnie wrodoży nowym porządkom i jawnie im ulegli, darzyli Swietłanę nieukrywaną wrogością.

Dziewczyna próbowała odnaleźć ojca. Zwracała się kilkakrotnie z pytaniem o jego los do poselstwa radzieckiego i kilkakrotnie otrzymała lakoniczną i niezmienną odpowiedź, że nikt o nazwisku Brusche nie figuruje w rejestrach osób zmarłych, zaginionych, uwięzionych, zesłanych lub gdziekolwiek przebywających na terenie ZSRR, że ostatnio zamieszkiwał w Siedlcach i tam należałoby go szukać, zwracając się o pomoc do władz polskich. Władze polskie natomiast wyjaśniały równie lakonicznie, że los zaginionych obywateli radzieckich nie podlega ich jurysdykcji.

Swietłana z czasem pogodziła się z myślą, że korespondencja, jaką otrzymuje w sprawie ojca, opisuje także i jej los, dziecka przemilczanego, wykluczonego, strąconego w nieistnienie, i że jej próby przeciwstawienia się temu postanowieniu czynią je tylko bardziej niewzruszonym i skamieniałym.

Skłonna do egzaltacji, uznała z czasem, broniąc się przed natrętną dosłownością Sapielaków, że to nieistnienie ją wyróżnia i namaszcza. Z tą

wiarą w wieku lat siedemnastu wstąpiła w związek małżeński z Mikołajem Rańskim, synem generała. Możliwość życia u boku człowieka cichego, milczącego i łagodnego wydała się dziewczynie darem nieba. Łagodności potrzebowała jak powietrza.

Poznali się przy zbieraniu stonki na Podlasiu i, chciałoby się rzec, pokochali, ale to nie byłaby prawda, podobnie jak nieprawda, gdyż naturą ich związku była niejednoznaczność.

Rozmawiali ze sobą rzadko. Nie przytulali się do siebie, nie trzymali za rękę. Kiedy szli ulicą, zawsze szybko, jakby przed kimś umykali, dziewczyna była o krok za, krok przed lub krok obok męża, a kiedy zdarzało się, że coś do siebie mówili, to obydwójce odwracali wzrok. Musieli ze sobą jednak od czasu do czasu sypiać, gdyż w listopadzie 1954 roku urodził im się prześliczny syn, Aleksander.

Wtedy też zamieszkali na Ziemiach Odzyskanych, w nieco baśniowym miasteczku, u podnóża raubritterskiego zamku Kynast.

A teraz powiedzmy o szczęściu. Jest oczywiste, że mówiąc o szczęściu, nie wspominamy małżeństwa i macierzyństwa, gdyż jedno i drugie szczęściem nie było. Było spokojem, może, w jakimś stopniu, celem.

Szczęście Swietłany zdarzyło się trzy lata później.

Artiom Rański powstanie warszawskie przeżył, jego dom przy Koszykowej – nie. Wraz z ocalałą ludnością miasta powędrował z małym, skórzanym sakwożazem na zachód. W Sochaczewie wynajął część nieogrzewanej werandy u jakichś cichych, miłych ludzi. Nie chciało mu się żyć ani umierać i, prawdę powiedziawszy, nic nie robił ani w sprawie jednego, ani drugiego. Nic nie czytał, z nikim nie rozmawiał, niczemu się nie przyglądał. Obywał się praktycznie bez jedzenia. Nie palił i nie pił. Niczego nie wspominał i naturalnie nie myślał o niczym, co go czeka w przyszłości. Sypiał płytkim, jałowym snem starca.

Drogi jego z synem się rozeszły. Nic o sobie nie wiedzieli i nie szukali kontaktu.

W styczniu 1945 roku, kiedy na werandzie zamarzała woda w miednicy, a ze wschodu grzmiała artyleryjska palba i nocne niebo rozjarzało się od łun,

Rańskiego odwiedził pułkownik Filip Siemionow z Rosyjskiej Wyzwoleńczej Armii.

– Jeżeli nie chce pan być obdarty żywcem ze skóry przez NKWD, a potem spalony w parowozie, to proszę z nami. Niemcy to kraj cywilizowany, Wehrmacht jest jeszcze potężny, linia obrony stanie na Odrze i bolszewicy jej nie przejdą. Tutaj nie czeka pana nic poza okrutną śmiercią.

Z tą samą obojętnością, z jaką rozlokował się na sochaczewskiej werandzie, wszedł do dobrze ogrzanego oficerskiego pulmana, w którym pachnący lawendą steward podał mu kawę ze śmietanką, a rosyjscy oficerowie częstowali go tureckimi papierosami. Nieco słodkawy smak tytoniu przypomniał mu młodość.

Podobnie jak pierwszorzędną męską urodą tych żołnierzy, którą nosili niedbale i bez ostentacji, podobnie jak rozmowy podszyte, o czymkolwiek by były, nonszalancją, nie wobec śmierci, bo o nią nietrudno w czasach zamętu i przełomu, ale wobec życia z tą przypisaną mu, jakkolwiek by mijало, ordynarnością.

Brak złudzeń wyzbyty jednak kpiny, której nie cierpiał, i ironii, która go nudziła, rozjarzył na moment w generale szorstką czułość.

Zauważył to widać Filip Siemionow, bo gdy pulman, kołysząc się miękko na potężnych resorach, wjechał w nudne równiny Wielkopolski, zapytał cicho:

– Czy pan mnie pamięta, ekscelencjo?

Rański odwrócił twarz ku wczesnemu zmierzchowi za oknem i zobaczył swoje wiotkie odbicie w szybie.

Pociąg jechał bardzo powoli. Ciągle go zatrzymywano. Im bliżej było Niemiec, tym dłużej stał na stacjach i pod semaforami. Przepuszczał transporty z rannymi, z uzbrojeniem, prowiantem, łupami.

Rański uśmiechnął się i nic nie odpowiedział, bo co można odpowiedzieć na pytanie z innego życia.

W Pleszewie część oficerów wysiadła. Wsiadł też Siemionow. Rański nigdy go już nie zobaczył.

W maju Rański znalazł się wraz z częścią korpusu w brytyjskiej strefie



okupacyjnej. Tu ich rozdzielono. Rańskiego jako cywila z zadeklarowanym polskim obywatelstwem puszczono wolno, żołnierzy Rosyjskiej Wyzwoleńczej Armii sukcesywnie wydano Stalinowi.

Do północnych Włoch Rański wjechał tego samego dnia, kiedy partyzanci z brygad Garibaldiego powiesili Aggera Bernecciego na rynku Benevento, czyniąc z Lubow jeżeli nie wesolą, to całkiem zamożną wdowę. Zajął się bratem jak najlepiej, urządzając go póki co w południowej Szwajcarii, z widokiem na dolinę Rodanu i równiny Piemontu.

Przestrzeni w Brig brakowało Rańskiemu jeszcze bardziej niż w Polsce, ale po okropieństwach okupacji, których wprawdzie nie doświadczył, ale był świadkiem, po szarości i biedzie tych lat, po wiarołomstwie i podłości zarówno okupowanych, jak i okupujących, kanton Valais wydawał się rajem i generał łaskawość losu docenił. Sprawił sobie rower i bardzo w nim zasmakował, przemierzając od marca do października świetnie utrzymane, wąskie, wijące się wśród winnic szosy, zjeżdżając w dół lub wspinając się w górę, czując na plecach wieczny chłód Weisshornu, a na twarzy ciepło Piemontu lub na odwrót, w zależności od tego, dokąd jechał lub skąd wracał, choć z czasem stało mu się to zupełnie obojętne, bo samo pokonywanie przestrzeni, umiarkowany wysiłek, oddychanie cudownym powietrzem, rozmowy z dobrodusznymi, ufnymi, cywilizowanymi ludźmi sprawiały mu tę coraz bardziej oswojoną przyjemność, w której nie czaiła się żadna zapowiedź zmiany.

Spokój i jednostajność tej przyjemności, by nie rzec – monotonia, były gwarancją jej nieprzemijalności.

Taki stan powoduje, że ludzie skłonni do nadmiernej szczupłości zaokrąglają się wdzięcznie, a posępna smagłość ustępuje miejsca mleczej bladości i brzoskwiniowym rumieńcom. I tak też się stało z generałem. Nie był już wychudzonym, zaniedbanym gwałtownikiem, lecz mężczyzną spokojnym i wręcz zażywnym.

Takim poznała go Swietłana latem 1957 roku.

Generał przez Czerwony Krzyż odszukał syna i nawiązał z nim kontakt, a po październikowej odwilży otrzymał prawo odwiedzenia go w Polsce.

Miał wtedy 65 lat, a Swietłana 20. Zaczęło się jak zwykle. W południe uścisnęli się na pustawym, niezrujnowanym jeszcze słowiańskim bezhołowym dworcu, a w nocy Swietłana miała ciężkie sny i dostała gorączki.

Generałem nie powodował nawet cień lojalności wobec syna. Swietłana chciała być uczciwa wobec męża i to się jej w stopniu najelementarniejszym udało.

Nigdy nie doszło do fizycznego zbliżenia między generałem a dziewczyną, choć w stojącym na uboczu miasteczka otchłannym domu okazji nie brakowało. Okazjom sprzyjał też, podejrzenie to nie dawało Swietłanie spokoju, jej mąż, Mikołaj, który wraz z przyjazdem swego ojca z dnia na dzień dyskretniał, wypalał się z resztek emocji, pozbywał do końca pragnień, oddając pole swemu zuchwałemu ojcu. Swietłana jednak nigdy na nie nie weszła.

I może jakiś fragment jej szczęścia stanowiło to poczucie własnej uczciwości i nieoczekiwanej przez nikogo lojalności, która stała się cnotą samą w sobie i dla siebie samej.

Świadkiem szlachetniejącego i duchowiejącego wraz z upływem czasu uczucia między matką a dziadkiem był trzyletni Aleks.

Generał przedłużał pobyt w Polsce. Kiedy listopadowe chłody ścięły kałuże, zmiotły liście z wszechobecnych kasztanów, bukowe lasy na zboczach Kynastu zapłonęły ochrą, a raubritterski zamek przybliżył się w szklanym powietrzu zapowiadającym rychłe mrozy, Artiom Kiryłowicz Rański zlikwidował swoje szwajcarskie gospodarstwo i wrócił do Polski. Nie tylko ze względu na Swietlanę, ale i na wnuka.

O ile dziewczynę kochał, znajdując w niej to, czego mu po wyjeździe z Rosji brakowało – rzewność, dzielność, dworskość, rosyjską chłopskość i rosyjską pańskość, więc to, co miał wrażenie, że bezpowrotnie utracił, to we wnuku doszukał się zapowiedzi tego, na co podświadomie być może zawsze czekał – kontynuacji.

Wbrew swemu wrodzonemu pesymizmowi i nabytemu poczuciu nadaremności.

Chłopiec był dystyngowany, cokolwiek by to miało znaczyć w wieku lat trzech lub czterech. Niebiańsko urodziwy, naznaczony rysą, znamieniem, cieniem przedwczesnej dojrzałości. Ruchy miał nerwowe, szybkie i podejrzanie zręczne, sylwetkę kruchą i zbyt ukształtowaną, co we wczesnym dzieciństwie, a więc czasie wszelkich możliwości, nie jest zaletą. Należał do dzieci, które, nawet u osób postronnych, budzą podziw, ale i troskę.

Niewątpliwa wyższość odgrodziła go od rówieśników, zbliżając do dorosłych.

Ale ojca widywał rzadko. Nie znajdując sensu ani przyjemności w życiu rodzinnym, Mikołaj oddawał się pracy. Skrupulatnie prowadził buchalterię w miejscowym gospodarstwie rolnym, a z czasem, po śmierci jednego z lwowskich jeszcze nauczycieli, zaczął wykładać rachunkowość rolną w miejscowym technikum.

Światem Aleksa tymczasem był dom i zapuszczony ogród, niepracująca matka i coraz bliższy mu dziadek, przygarnięty ociemniały kot i dwa pokraczne kundły ocalone od raka.

Światem Aleksa były poważne rozmowy, głośnie czytanie klasyki rosyjskiej w oryginale, język Turgeniewa, Bunina, jakim rozmawiali ze sobą dziadek i matka, język, którego nie rozumiał i nigdy nie polubił ojciec, wyemancypowując się z rodziny coraz bardziej, przyjmując z biegiem miesięcy i lat status mebla, ociemniałego kota, milczących za oknami kasztanów.

Światem Aleksa stała się mitologizowana przeszłość i zagadkowa przyszłość. Nie było w nim terażniejszości, gdyż terażniejszością była rzeczywistość zza parkanu, nie tyle wroga, co obca, więc obojętna.

W pogodne dni chodziło się na Kynast, wybierając strome, kamieniste ścieżki, którymi nie wędrowali ani turyści, ani miejscowi.

Nie szukali samotności, to raczej samotność ich szukała, dobrze się z nimi mając.

Szkoła stała się pierwszym zderzeniem chłopca z życiem.

Wrodzona dystynkcja i duma umocnione urodą, zręcznością i talentami

uczyniły Aleksa odpornym na pyską rzeczywistość, ale też w miarę jej trwania, w miarę przechodzenia z klasy do klasy, w miarę coraz lepszych cenzurek i świetniejszych opinii, Aleks zaczął zdawać sobie sprawę, że świat stworzony mu przez parę dziwnych kochanków, świat otchłanny, uwodzicielski, dzięki pomocy włoskiej ciotki wolny od trosk materialnych, świat mitów i marzeń, jest chorobą w tym samym stopniu, co zgiełk, ordynarność, nieprawość, niechlujstwo i bylejakość z za parkanu są zdrowiem.

I że jakkolwiek byłby to świat oswojony, serdeczny, własny, ujść z niego cało się nie da, gdyż jest śmiertelną pułapką.

– Kiedy zdałeś sobie z tego sprawę? – zapytała dawno temu Lubow Kiryłowna i tak już zostało.

– W dniu śmierci dziadka – odpowiedział Rański.

– To był listopad.

– Nie, ciociu, grudzień.

Nie mógł zrozumieć, dlaczego starsza pani zdecydowała upierać się przy listopadzie i wyprowadzana z błędu po pewnym czasie znowu zadaje pytanie, jakby nie słyszała odpowiedzi lub w nią nie wierzyła.

– Miesiąc, w którym przestałem być dzieckiem – dodawał szeptem.

Skończył kawę, dojadł ciasteczko, otrzepał spodnie z popiołu i kociej sierści, jak zwykle zapytał o rzymski zapis Aggera Bernecciego, a ciotka jak zwykle odpowiedziała, że nic się nie zmieniło.

Chciał być w porządku wobec introwertycznego posłańca kurii, młodego księdza o ujmującym sposobie bycia, który odwiedził go w kancelarii dwa lata temu, gdy jego notariat zaczynał się rozpętać. Zlecenia były prestiżowe i prawniczo łatwe. Rański wywiązywał się z nich bez zarzutu, a w sprawach, których z różnych przyczyn nie posuwał do przodu, dawał wiarygodne i przekonujące nadzieje.

Był porządnym, stołecznym notariuszem, nieprawdopodobnie znudzonym swoim zajęciem. Toteż gdy wiosną 1991 roku odwiedził go Sebek Paślawski szukający notariusza dobrze znającego rosyjski, Rański się ucieszył, choć ani przez moment nie miał wątpliwości, z kim sprawa.

Ale dlatego się właśnie ucieszył. Mógł wziąć odwet na własnych złudzeniach.

### III

Z wielkimi nadziejami przyjął zmianę ustroju w 1989 roku, jak każdy uczciwy człowiek w jakiejś mierze się do niej przyczyniając.

Umiarkowana, chłodna natura nie predysponowała go do działań radykalnych czy ryzykownych, ale inteligencja, elegancja i refleks utrzymywały go na powierzchni przyzwoitości, wymuszając, chciał czy nie chciał, konsekwentny opór wobec niegodziwości i absurdów reżimu.

Ofensywę motłochu, tę całą górę ludzkiego śmiecia sunącego w awangardzie zmian uznał za dziecięcą chorobę nowego porządku i oczekiwał, że państwo się z tego otrząśnie. Gdy po dwóch latach nadziei przekonał się, że państwo, nie tyle w swej naiwności i młodości, ile w starym jak świat kurewstwie sankcjonuje ten stan, stając się jego depozytariuszem, że państwo nie tępi hołoty, ale ją ośmiela, wynosi, wręcz sakralizuje, że przez swe instytucje samo staje się sprzedajną, rozchwianą od ściany do ściany hołotą, że rozwieleniony motłoch tam i tu pociągnięty politurą zachodniości nie jest nieszczęściem tego państwa, ale jego tężyzną, jego chojrackością, to nabrał do tej konstrukcji rezerwy. A od rezerwy do pogardy był tylko krok. Uczynił go, wspierając się na masywnym barku Sebka Paślowskiego.

Kiedy kilka miesięcy temu w wynajętym apartamencie warszawskiego hotelu, podczas jednej z częstych balang z panienkami, doszło do ostrego spięcia między Sebkiem a Rańskim, ten pierwszy dopowiedział do końca to, co do tej pory, dosyć zresztą niezręcznie, zawoalowywał:

– Nie podoba ci się mój kałdun! – wrzasnął, plując śliną. – Nie podobają ci się moje kwadratowe bary! Mój spasiony i przepity ryj! Moje grube paluchy i łeb wysmarowany brylantyną... No to ci powiem, rejent, że większość z tego, co tu jest, i wszystko z tego, co tu będzie, jest z tych rąk! I z tego łba!

Sebek podbiegł wtedy do płaszczyzny okien i zamaszystym, gospodarskim

gestem rozsunął portierę. Jak na scenie ukazała się oświetlona reflektorem szczytowa ściana sąsiedniego budynku zamalowana reklamą jakiegoś kapitalistycznego śmiecia. Wskazując ją, Paślawski wykrzyknął:

– Wszystko! Wszystko!

– Dobrze mu powiedziałaś, Sebek – odezwał się wtedy Gites spod półnagiej dziwki – niech nie zadzierają nosa.

Sebek odwrócił się od panoramicznej szyby zlewanej wiosennym deszczem i dodał ciszej, ale z nie mniejszą pasją:

– Chyba przechytrzyłeś, rejent. Chciałeś być mądry, ale znaleźli się mądrzejsi. Chciałeś być cwany, ale są cwańsi. Chciałeś być przewidujący, ale trafiłeś na takich, co widzą lepiej. Myśleliście, że teraz to już będzie wasza działka, wasz ogródek, wasza piaskownica, wasza Polska, a tu się, kurwa, okazało, że to jest Polska takich jak ja. Jak ja i moi kumple! Czy to wam się podoba, czy nie! Bo to my zakładamy firmy. My ściągamy pieniądze. My dajemy wam robotę. My płacimy podatki. To moje tiry rozjeżdżają Europę od Hiszpanii po Ural. Że mało ich? Zgoda, może i mało. No to będzie więcej. Kiedy? Z czasem, rejent. Z czasem.

Sebek podszedł wtedy do Rańskiego na długość ramienia i powiedział spokojnie, wręcz przyjacielsko:

– Więc nie zadzieraj nosa i zatańcz z Marzenką jak trzeba. Nie okazuj jej takiej pogardy, bo nie zasługuje na nią. Ani ona, ani my.

Uśmiechnął się, a w jego śmiałych oczach zaświeciły się iskierki inteligencji i uroku, których w pewnych sytuacjach Rański nie mógł mu odmówić.

– Bez urazy, Rański – odezwał się Gites – ale kiwamy was, jak chcemy.

Sebek objął Rańskiego wpół i powtórzył:

– Zatańcz z Marzenką. Proszę cię.

Jakiś czas później Lubow Kiryłłowna zapytała go, czy zatańczył.

O kogo tej czarownicy może chodzić, zapytał siebie w duchu Rański i odpowiedział, kryjąc twarz za uniesionym ramieniem:

– Naturalnie, ciociu.

Od mniej więcej roku okłamywał ciotkę i matkę.

Nigdy z nią nie zatańczył. Nigdy jej nie objął, nie przytulił, nie pocałował. Nigdy nie szepnął jej do ucha żadnej nieprzyzwoitości ani intymności, ani serdeczności, ani niczego. I oczywiście nigdy z nią nie zatańczył.

Był dystyngowany, miły, zawsze poprawny, ale namiętności było w nim tyle, co w kołku od płota.

Nikom to jednak nie przeszkadzało. Krojono to małżeństwo za jego plecami, przypatrując się bez obaw jego obojętności i obojętnie jego obawom.

Poza wszystkim bał się, że w mniej czy bardziej stałym związku, słowo „małżeństwo” nie przechodziło mu nawet przez usta, powtórzy los ojca. Lęk nie brał się z powietrza. W miarę upływu lat coraz bardziej przypominał ojca, a w Zosi Ronnert doszukał się matki. Podobnie wiotka, podobnie na niewidocznym wietrze rozkołysana, równie panińska i równie, cokolwiek by się miało wydarzyć, niewinna. Zbyt mu bliska, by mogło ich czekać wspólne życie. Jakiegokolwiek wspólne życie.

Glazura czarna jak noc w chłodnej łazience. Marmurowa podłoga z elipsoidalną wanną wpuszczoną w głąb. Kryształowe lustro na całą ścianę i ani smuzki pary.

Sebek Paślawski wyszedł z kąpieli. Jego masywne, zbrązowiałe od solarium ciało ociekało wodą i pianą. Rański odwrócił głowę, zażenowany widokiem bezwstydnego mężczyzny.

Podniósł z bidetu skoroszyt w plastikowej oprawie. Otworzył go i przerzucił kartki.

– No? – zapytał Sebek, otrzepując dłonie.

– Potraktuje pan to jako aport – odpowiedział Rański, uciekając ze wzrokiem.

– Jaki aport?

– Będący wykładnią jednoznacznych kontaktów, wypróbowanych tropów, niezawodnych układów. To jest dla braci Kwaśniak do przyjęcia.

– W związku z czym? – Sebek owinał się kąpielowym płaszczem. Wytarł energicznie twarz i włosy czarnym jak łazienkowa glazura ręcznikiem.

– Proponują fuzję.

– Jaką fuzję?



– Z jednostronnym zasilaniem kapitałowym i póki rzecz się nie dotrze, z osobnym rozliczeniem zysków.

– Każdorazowo?

Rański skinął głową.

– Na podstawie? – Sebek przetarł pachy sztyftem i zaczął wklepywać sobie krem w policzki i szyję.

– Na podstawie umowy notarialnej, która określi precyzyjnie proporcjonalne do wkładów przychody każdej ze stron.

Sebek przeczesał wąską szczoteczką brwi, zmoczył tamponik waty tonikiem i zwilżył nim worki pod oczyma. Zapytał rozdrażniony, szukając dziury w całym:

– Między kim a kim?

Rański odpowiadał mu coraz grzeczniej i coraz ciszej, starając się zgasić w sobie nutę lekceważenia, jaką podszyta była uprzejmość.

– Między spółką z jednoosobowym zarządem, którą zawiąże pan z sobą samym do reprezentowania własnych interesów, a taką samą spółką, którą bracia Kwaśniak sprostakują dla siebie. Wspomniana fuzja będzie efektem połączenia tych dwóch spółek.

– Ile na ile? – Sebek wpuścił do szklanki kilka kropel amarantowego płynu i wypłukał usta.

– To oczywiste, panie Pasławski.

– Co jest oczywiste?

– Że fifty-fifty.

– Niech mnie pocałują w dupę.

Sebek obficie spryskał twarz, pierś i nadgarstki wodą kolońską.

– Panie Pasławski – Rański cofnął się ku uchylonym do sypialni drzwiom. Nie był w stanie rozjarzyć w sobie irytacji czy zdziwienia – nie daje pan grosza. Oni wykładają kasę, pan kontakty.

– Niech mnie pocałują w dupę! – ulżył sobie Sebek. – Pojedź do braci Kwaśniak i powiedz im, żeby pocałowali mnie w dupę. Oni mają propozycję dla mnie, ja dla nich.

Nalał sobie w garść brylantyny i wysmarował nią włosy.

Zawiesił dłoń w powietrzu i przypatrując się twarzy Rańskiego odbitej w lustrze, zapytał zaczepnie:

– Co tak na mnie patrzysz?

Rański zszedł z pola widzenia, co łatwe nie było, zważywszy wielkość lustra.

Sebek wyciągnął w stronę Rańskiego krępy flakon yardleya.

– Nie podoba ci się moja brylantyna?

– Nic takiego nie powiedziałem, panie Paślawski.

– Przeciwnie – Sebek odwrócił się, wycelowując w Rańskiego wypielegnowany paznokieć – słyszałem wyraźnie.

– Jest list z urzędu skarbowego – odpowiedział cicho Rański. Czuł się zmęczony, ale pewny. Jego wnętrze nie rezonowało, a dłonie były suche i nieruchome. Miał ochotę usiąść.

Sebek opuścił łazienkę drzwiami prowadzącymi do garderoby. Otworzył jedną z szaf i przeciągnął palcami po wiszących w niej garniturach. Wybrał, nie zastanawiając się, i rzucił ubranie na sofę.

Rański zatrzymał się między jednym pomieszczeniem a drugim. Z miejsca, z którego mówił, mógł nie oglądać nagiego ciała Sebka, i z tej możliwości skorzystał.

– Monit wysłany z końcem sierpnia. Przygotowałem odpowiedź.

– Czytaj! – warknął Sebek, rozglądając się za bielizną.

Nim Rański zaczął, Sebek już mu przerwał; Rański próbował więc czytać szybko, by dać szansę sprawie, ale Sebek zawsze go ubiegł, powtarzając histerycznie, że mu się nie podoba.

Stał bezradnie na środku przerośniętej garderoby, w gaciach i skarpetkach do połowy łydki.

– Nie podoba mi się wczorajszy obiad.

Rański odchrząknął i z trzaskiem zamknął skoroszyt. Rzekł, błędząc spojrzeniem po czarnej glazurze:

– Skoro już o tym mowa, panie Paślawski... – urwał, jak gdyby szukał w myślach odpowiedniego słowa i nie znajdując go, rozłożył dłonie i uśmiechnął się, mierzając wzrokiem nieznany mu niepokój szefa.

– To co? – Sebek pochylił się, zamiatając koszulą podłogę.

– To mam wrażenie... – wycedził Rański.

– Że co?

– Że nie różnił się od poprzednich.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

Rański odrzekł nie od razu, tak jak się mówi nie to, co by się chciało powiedzieć, a w każdym razie powinno, że obiad był równie długi i męczący jak zawsze.

– Nie lubisz moich obiadów? – w pytaniu Sebka była już odpowiedź. Tak jak w niemocy biernie zwisających rąk.

– Nudzą mnie

– Tak jak tych Rusków?

– Być może.

– Chłopaki od Czeremyszkina...

– Ale oni nie byli od Czeremyszkina.

– A od kogo?

Rański odniósł wrażenie, że w pytaniu Sebka było podejrzenie, którego nie chciał przed nim ukryć.

– Tego nie powiedzieli.

– A co powiedzieli? – Sebek naciągnął przez głowę zapiętą koszulę.

Rański rozłożył dłonie.

Sebek zwałił się na sofę i zaczął bezładnie zakładać spodnie.

– I to mi się właśnie nie podoba – warknął do siebie.

Kwadrans później w stylowym gabinecie, skryty za gardą złożonych dłoni, wsparty mocno łokciami o skórzany prostokąt wpuszczony w mahoniowy blat, powtórzył kilkakrotnie, że to mu się właśnie nie podoba, a po drugiej stronie biurka Rański z rękoma w kieszeniach spodni, z wysoko założoną nogą, siedząc tak, jak nie siedział tu jeszcze nigdy, przyglądał się obcesowo szefowi. Czuł w sobie tchnienie jakiejś mocy.

Z holu doszedł ich stukot podwójnie podkutych butów. Do gabinetu wszedł Gites. Blade oczy pozbawione były wszelkiego wyrazu, a zapadnięty, wytatuowany tors chroniła uzbrojona w metal skórzana kurtka.

Pominał uwagę Sebka, że do gabinetu szefa nie wchodzi się jak do chlewa, i rzekł, że tiry wróciły z Rosji tak, jak wyjechały, że ich nie rozładowano, że chłopaki zrobili, co mogli, ale nikt nie chciał z nimi gadać.

– A Czeremyszkin? – Sebek odsłonił twarz i Rański zauważył, że pomimo łożniowych zabiegów oczy Sebka są zmęczone, białka znowu podbiegły krwią, źrenice rozszerzyły się bezbrinnie jak po atropinie, nadając twarzy nieznany jej dotychczas wyraz bezradności.

– Zapadł się pod ziemię. Chłopaki pojechały na Moskworieczce, na Otradnoje, na Butyrki, do Chimek. Nie znaleźli nigdzie Witii, nikogo z jego ludzi, żadnego magazynu. Jak w studnię.

– Więc wrócili.

– Właśnie, Sebek.

– A ty przyszedłeś, żeby mi o tym powiedzieć?

Gites potwierdził.

Sebek pochylił głowę. Rzekł z przyczajoną agresją, która może się skupić lub rozpląnąć, wzmóc lub opaść, rozjarzyć lub zgasnąć:

– Przychodzisz do mojego domu, mojego gabinetu, żeby mi powiedzieć, że moje tiry wróciły z Rosji tak, jak wyjechały?

Gites potwierdził.

– Pomyślałeś sobie, pójde i powiem o tym Sebkowi, tak?

– Tak.

– Pomyślałeś, przykra wiadomość, niech się Sebek martwi, może co wymyśli.

– Tak nie pomyślałem.

– Nie moje tiry, nie mój interes.

– Sebek...

– Do mojego domu... mojego gabinetu... że moje tiry...

Głos Sebka niebezpiecznie się wznosił, pęczniejąc od furii.

– Panie Pasławski – przerwał mu Rański – to nie jest wina tego człowieka.

– A czyja? – wrzasnął Sebek i grzmotnął w biurko kułakiem, aż jęknęło. Ale zmitygował się zaraz. Opar nadaremności zdusił płomień gniewu, który się nawet na dobre nie rozjarzył, nie rozbłysł, jak to w naturze ognia bywa.

Rzucił się plecami na poręcz obrotowego fotela i niespodzianie pogodzony z faktami, zapytał:

– A czyja? Czyja wina? Masz jakiś na nią pomysł?

Rański zapytał nonszalancko:

– Na tę winę?

– O niej mówię – odpowiedział Sebek.

Gites zatrzeszczał skórą i metalem. Zbliżył się do ściany. Schował dłonie w kieszeniach kurtki i wypchnął je do przodu. W gabinecie zaśmierdziało podłym tytoniem.

– Zostaw nas samych – poprosił Sebek.

Młodzi mężczyźni spojrzeli po sobie.

– Zostaw nas samych – powtórzył Sebek i spojrzał na Rańskiego. Notariusz wstał i wyszedł.

Sebek przywołał kumpla. Ten zajął miejsce Rańskiego na krześle, ale nie w jego głębi, lecz na brzegu.

– Pobiesiadowaliśmy wczoraj, nie?

Gites potwierdził nieznacznym skinieniem głowy.

– Zapytałem cię wtedy – Sebek zniżył głos do szeptu – czy rejent jest gościem jak trzeba, tak?

– Tak.

– Co mi odpowiedziałeś, Gites?

– Że miękki trochę. Ale że stwardnieje.

– Skąd wiedziałeś?

– Co, Sebek?

– Że stwardnieje. Skąd to wiedziałeś?

Gites przełknął głośno ślinę, poprawił się na krześle, pokręcił głową. Nie odpowiedział nic.

– Pamiętasz, Gites? Rejent się trochę zdenerwował, sięgnął po papierosy – Sebek kiwnął palcem na kumpla – wtedy jeden z tych dwóch podał mu ogień. Pamiętasz?

– Pamiętam.

– Z taką, taką... kurwa... no... – Sebek strzelił z palców.

– Pochyłością – odpowiedział Gites.

– Właśnie, zauważyłeś?

– Zauważyłem, Sebek.

– Mnie żaden ognia nie podał. Tylko jemu.

– Siedziałeś po przeciwnej stronie stołu.

– A Rański gdzie? – zachnął się Sebek. – To nie ma nic do rzeczy. Gdyby mnie szanowali, stół by im nie wadził.

Sebek wyrznął w biurko mocno, ale powiedział słabo:

– Gdyby mnie szanowali. Chłopaki od Czeremyszkina zawsze podawały mi ogień. Mam rację?

– Nie pamiętam, Sebek, żebyś jej kiedy nie miał – odpowiedział usłużnie Gites i błysnął, ni w pięć, ni w dziewięć, porcelanowymi zębami.

Sebek zamyślił się. Ilekroć się zamyślał, choć nie zdarzało to się często, pęczniał. Zamyśleni ludzie wiotczeją, nie dotyczyło to jednak Sebka. W powietrzu gabinetu snuł się jeszcze szlachetny zapach cygara umykający przed uliczną wonią wniesioną przez Gitesa. Niemy wzrok Sebka odprowadzał zapach cygara ku angielskiemu oknu w wykuszu. Dłoń zaciśnięta w pięść rozwarła się i umilkła.

– Miej go na oku, Gites.

– Rańskiego?

Sebek pokiwał głową.

– Jasne – odpowiedział Gites – nie ma sprawy. Będzie, jak trzeba.

– Od zaraz – dorzucił Sebek.

– Tak to zrozumiałem.

Gites wstał z krzesła. Pochylił wygoloną czaszkę i sforsował nią drzwi. Podwójnie podkuty glan zarysował płaską listwę progu. Sebek wzdrygnął się. Obrócił fotel ku oknu w wykuszu i w jego polu zobaczył oddalającą się kruchą sylwetkę Rańskiego.

To nie był gość, który niepokoiłby się na wyrost. Raczej odwrotnie, dobrze znosił sytuacje, które innych pętałyby strachem. Domyślał się swoich przeciwników i walił z byka. Bez ostrzeżenia. Nie tłukł jednak nigdy łbem w mur.

Rański był ostatnim człowiekiem, z jakim chciałby się zetrzeć, i do głowy mu nie przychodziło, że to kiedyś może się zdarzyć.

Nie lubił Rańskiego. Do furii doprowadzało go niepozbawione podstaw podejrzenie, że Rański go nie szanuje. Że nie szanuje jego roboty, jego firmy, jego kumpli, tego, co zbudował i zbuduje w przyszłości. Że nie szanuje jego marzeń. Chciał mieć jednak świadka swoich starań, swoich sukcesów, swojej odwagi i woli. Kimś takim nie mógł być nikt z kręgu rodziny, przyjaciół, wspólników. To nie byli świadkowie. Rański spełniał to oczekiwanie bez względu na to, co sam o tym sądził.

Poza tym notariusz karmił się trochę siłą swego chlebodawcy.

Na swój sposób siebie potrzebowali, choć zanim zetknął ich los, każdy z osobna wpisał się w nową rzeczywistość na tyle łatwo, by nie czuć się w niej zagubionym.

Różnica między nimi poza wszystkim innym polegała też na tym, że Sebek znajdował przyjemność w zadawaniu Rańskiemu bólu, onieśmieleniu go, upokarzaniu, prowokowaniu w nim neurotycznego popłochu i utrzymywaniu w stanie niepewności. Wiedział, jak zadawać te razy, rozumiał istotę satysfakcji, jakiej doświadczał, i Bogiem a prawdą, nie skąpił jej sobie. Rański natomiast nic z tego nie rozumiał. Nigdy nie był masochistą czy typem ofiary. Nie szukał zwady, ale jeżeli już do niej dochodziło, to się nie cofał i często górował. Nie puszczał płazem zniewag i swoim dystyngowanym, ale stanowczym sposobem bycia dawał do zrozumienia, że nie można go dotknąć bezkarnie.

Trudno powiedzieć, by odwet był jego żywiołem, ale też pokora nie miała nic wspólnego z jego naturą.

Był mężczyzną dumnym, choć ewidentnie pozbawionym woli i siły; to niełatwy melanz, ale Rański umiał z nim żyć.

Miał do siebie wygasającą w miarę upływu lat pretensję, że rzeczy dzieją się bez jego udziału, że życie biegnie obok, a on stoi na brzegu i nie tyle bezsilnie, co beczynn timer przygląda się jego nurtowi.

Udział w zuchwałych, czasami wręcz szalonych przedsięwzięciach Sebka nie zmieniał jego pozycji, gdyż nie był ich inspiratorem, wykonawcą, tym

bardziej beneficjentem.

Używając terminologii prawnej, która w duchu go zawsze trochę śmieszyła i żenowała, oprzyrządowywał działania notarialnie, sam zabezpieczając się przed ich dobrymi i złymi konsekwencjami, więc udział ten potwierdzał tylko niezmienną i nieustępującą peryferyjność jego natury.

Doprawdy nigdy nie był w ogniu wydarzeń, cokolwiek i gdziekolwiek by się działo.

To już w zasadzie nie był jego problem, ale uporczywość, z jaką życie wymiatało go na margines, czasami go drażniła. Tak czy owak, nie mógł się jej nadziwić.

Ponieważ nic z tego nie rozumiał, zaczął sobie z czasem tłumaczyć związek z Sebkiem korzyścią finansową i męską.

To pierwsze nie było prawdą; Sebek płacił mu nieregularnie i coraz skąpiej. Pieniądze, które u niego zarabiał, zarobiłby i u siebie. To drugie prawdą było, ale nie koniecznością; sekret, ukrywany przed matką, rodziną, nielicznymi przyjaciółmi, otoczeniem, na którego opinii mu zależało.

Zasmakował w dziwkach. W połowie studiów zanurzył się w kurewstwie i tak już zostało. Nie miał innych kobiet i ich nie pożądał. To nie była tylko sprawa wygody, szybkości czy perwersji. To była niechęć, a nawet niemożność podjęcia jakichkolwiek zobowiązań w tym względzie.

Wspominając zobowiązania, nie należy wszakże sądzić, że dotyczyły one narzeczeństwa, małżeństwa czy, nie daj Bóg, przyszłej rodziny. Tak daleko nie śmiał nawet myśleć, gdyż myśl taka mogłaby być sama w sobie śmiertelnie dla niego niebezpieczna. Dotyczyło to sytuacji dużo mniej groźnych. Wspólnego spaceru, kina, obiadu, nawet rozmowy.

Podjęcie, że mógłby z własnej, niepojętej woli poddać się rytuałowi, powtarzać nudę, a więc udrękę wielu młodych mężczyzn, budziło w nim rozbawienie. Ze współczuciem przyglądał się w parkach, knajpach, domach i na ulicach parom młodych ludzi spętanych tą nitką niewyobrażalnej nudy, tą mdłością, przedwstępnością, tym obłudnym człowieczeństwem, które w tych kwestiach miałyby nas różnić na przykład od zwierząt. Był wolny od takiego przesądu.



Ale wolność kosztowała. Jego sprawy nie szły tak źle, by nie mógł sobie na to pozwolić, ale nie tak dobrze, by tego nie zauważał.

A poza tym fakt, że musiał płacić za coś, co inni, przynajmniej teoretycznie, mieli za darmo, trochę go deprymował.

Miał trzydzieści sześć lat i nic mu nie brakowało.

W tej materii znajomość z Sebkiem Paślawskim go dowartościowywała.

Sebek podsuwał mu kobiety, jakich sam by nie znalazł. Ładne, czyste, dobrze ubrane, niegłupie, wolne od jakichkolwiek męczących spodziewań, a więc zdumiewające, jak na mętną otchłań, z jakiej je czerpano.

Rański bardzo w nich zagustował. Lubił dziewczyny z okolic Nowogrodu, Jarosławia, Petersburga, ze stron swojej matki. Lubił ich melodyjność, rzewność, niezależne od okoliczności znużenie i tę nutę pogodzenia z obrzydliwością świata, którego nie chciały naprawiać ani wymierzać mu sprawiedliwości.

Wiedza, że kurwami są przy nim, a u siebie żonami urzędników, robotników, bezrobotnych naukowców, siostrami żołnierzy, córkami mniej lub bardziej świadomych budowniczych imperium, bardzo go podniecała, podobnie jak myśl, w łóżku nigdy go nieopuszczająca, że z nim są uległe, powolne jego najwymyślniejszym kaprysom, a u siebie dumne, rozwrzeszczane, po rosyjsku harde, mściwe, płaczliwe i sentymentalne, raniące swych zapitych, bezwolnych mężczyzn strasznym rosyjskim słowem.

Zamawiał sobie dziewczyny lub kobiety, gdyż lubił też te skryte w cieniu trzydziestki, a Sebek Paślawski wywiązywał się bez zarzutu, bezbłędnie domyślając się zachcianek swego notariusza.

Uzależnił Rańskiego od tej wygody.

A Zosia Ronnert? Zosia, na swój sposób nieładna, wychudzona, jakoś zakonnie cienista, po męsku mądra, oddana bez reszty swym inteligenckim, bezsensownym zajęciom, jakimś recenzjom, korektom, tłumaczeniom, była uchyloną furtką do świata znanego, ale irracjonalnego, więc nieistniejącego, więc koniec końcem niewyobrażalnego.

Nie wejść w tę furtkę, powiadał sobie w duchu Rański, gdy matka dopytywała się o postępy w znajomości.

Bo matka, z którą po nagłej śmierci ojca dzielił wygodne mieszkanie na jednym z niedalekich przedmieść, bardzo temu związkowi sprzyjała. Adorowała Zosię ponad jej zalety. Jak każda matka, czując na plecach oddech nieodległej starości, pragnęła, by jej jedyny syn znalazł jakieś oparcie i punkt odniesienia.

Podejrzewając Aleksa o niezręczność z dziewczętami, uważała, że Zosia ze swoją głęboko ukrytą kobiecością, nietransparentną urodą i somnambulicznym usposobieniem nie przysporzy synowi rozczarowań.

Bardzo się też niepokoiła, czy trzymany na smyczy przyzwoitości romans z Artiomem Kiryłowiczem, romans czysty, ale i bezwzględny zarazem, nie odcisnął niezdrowego piętna na wiotkiej psychice chłopca.

Kiedy w kwartał po pierwszym zaaranżowanym spotkaniu syna z Zosią, matka, zirytowana chłodem, z jakim Aleks opowiadał o wspólnym krakowskim weekendzie, zapytała o powód nienormalnej, jej zdaniem, wstrzemięźliwości, Rański odpowiedział, że to z przyczyny niezręczności.

– Nie rozumiem? – matka zastygła wtedy w pół kroku między korytarzem a pokojem syna, udając umiejętnie zdziwienie czymś, czego się w duchu domyślała.

– Czuję się niezręcznie – odpowiedział wtedy Rański, omiatając matkę spłoszonym spojrzeniem.

– Z Zosią?

– Nie, mamó, w ogóle. Czuję się w życiu trochę niezręcznie. Nie od dzisiaj.

– Chyba bez powodu, Aleks?

– To niczego nie zmienia. Zdążyłem się do tego przyzwyczaić. Ale kiedy słyszę, że mój stan nie przypomina radosnego podniecenia, jakiemu ulegają zakochani młodzieńcy, to proszę mi wierzyć, mamó, czuję się zażenowany i odpowiadam, że jestem szczęśliwy, ale na swój sposób. Podobnie jak i nieszczęśliwy. Przykro mi, ale nic na to nie poradzę.

I zaraz potem, przypatrując się ściętej wyolbrzymionym poczuciem winy twarzy matki, twarzy mimo porcelanowej przezroczystości wciąż dziewczęcej, pomyślał, że bardzo ją kocha, ale że być może robi dla niej więcej, niż trzeba, więcej, niż matka w istocie oczekuje, że gdyby ona знаła

skalę zobowiązań, jaką zaciągnął sam wobec siebie, to nie zgodziłaby się na taką ofiarę. Że zdrowiej i uczciwiej, lepiej dla nich obojga jest powiedzieć prawdę o sobie.

Tak wtedy pomyślał i zaraz dodał:

– Zosia to wspaniała dziewczyna. Trudno kogoś takiego teraz znaleźć. Chyba jestem szczęściarzem.

Odwrócił się do pokoju i dodał najpogodniej, jak potrafił:

– Ale na swój sposób, mamó. Na swój sposób.

A niepewność Sebka Paślowskiego rosła w równej proporcji do pewności Rańskiego.

Rosła też jego podejrzliwość wobec notariusza o tyle, o ile rozsądny Gites nie dawał ku temu samemu żadnych powodów. Informował szefa, że Rański zachowuje się i żyje jak dotychczas, że w jego stosunku do siebie i świata nie nastąpiła zmiana, która mogłaby sugerować, że stoją za nim jakieś złe moce.

– Ale mnie nie szanuje – mawiał wtedy Sebek, a Gites odpowiadał, że nie szanował go nigdy.

– Przedtem jednak to ukrywał – upierał się przy swoim Sebek, nie zwalniając kumpla z obowiązku śledzenia Rańskiego.

Opowieść Sebka o ludziach z mafii kazańskiej tylko utwierdziła Gitesa w przekonaniu, że Sebek pompuje w sobie balon lęku nieprzystający do rozmiarów zagrożenia, ale nie w jego, Gitesa, interesie jest ten lęk radykalnie rozwiewać.

– Kiedy byłem w Moskwie przeszłego roku – rzekł niezdrowo podniecony Sebek – poważni goście, z którymi jadłem śniadanie w hotelowej knajpie, zwrócili moją uwagę na stalowe volvo zajeżdżające na parking. W środku siedziało trzech mężczyzn o nieruchomych twarzach. Wyglądało, że na kogoś czekają. Zapytałem o nich. A poważni goście, z którymi jadłem śniadanie, odpowiedzieli, że to ludzie z mafii kazańskiej. Możesz uważać się za szczęściarza, Sebek, jeżeli nie zobaczysz ich już nigdy więcej. Tak powiedzieli mi goście, którzy wiedzą, o kim mówią. Wygląda na to, że szczęście mnie opuściło.

– Czemu tak myślisz? – zapytał Gites, a Sebek mu odpowiedział, że ci

dwaj przyjechali takim właśnie autem.

– Jakim, Sebek?

– Stalowym volvo GLT 940. To ludzie z Kazania.

Sebek rozejrzał się po gabinecie, jakby był w nim po raz pierwszy, i dodał z rezygnacją:

– Od początku miałem podejrzenie, że już gdzieś ich widziałem.

– Tamtych było trzech.

– Nie mylisz się, Gites – Sebek zatrzymał wzrok na swych dłoniach symetrycznie ułożonych na krawędzi biurka. – Trzeci dojedzie. Ci dwaj na niego czekają.

– Ponoś pana fantazja – rzekł Rański, gdy Sebek dzień później, w jego obecności, powtórzył swoją przepowiednię.

– Nie wierzysz, żeby mafia kazańska była zainteresowana moimi interesami w Rosji?

– Proszę mi wybaczyć, panie Paślawski – odpowiedział spokojnie Rański – ale pan sobie zbyt pochlebia.

Jednocześnie notariusz uzmysłowił sobie, że jest uczestnikiem zastanawiającego zbiegu okoliczności, gdyż on też ma wrażenie, że dwaj stepowi nie są mu obcy, że widział ich na pokładzie rzeczno-go statku „Friedrich Engels” podczas dwóch pogodnych dni, jakie się przytrafiły, gdy minęli Wolsk.

Pomyślał też sobie, że oto los, przeznaczenie albo przypadek, co za różnica, podsunęły mu okazję, której nie powinien zmarnować.

A skoro już o tym mowa, to pół roku temu, mniej więcej, Paślawski wyczarterował w Holandii cztery nowe DAF-y. Ustawił je w gwiazdę w garażach na dalekim Bemowie i przez kilka kolejnych dni jeździł tam, by się im przypatrywać. Faktycznie wyglądały imponująco, piętnastotonowe smoki z purpurowymi kabinami zawieszonymi na wysokości pierwszego piętra.

Ale Paślawski nie cieszył się nimi długo. Mimo wygłodzonych kaukazów i dodatkowych strażników garaże tuż przed świtem stanęły w ogniu i ciężarówka uprowadzono. Zniknęły bez śladu.

Sebek od dawna prowadził czujną grę z dwoma podstołecznymi gangami. Trochę im odpalał, tu i tam umiarkowanie dopuszczał do zysków, trochę z nimi kombinował, jak trzeba było, to im ulegał, jak trzeba – stawał okoniem, bywało, że przygryzał, korzystając z rosyjskich kontaktów.

Patroni gangów, narwani i nieprzewidywalni, uważali go za jeszcze bardziej nieprzewidywalnego i ustawionego wyżej, niż było w rzeczywistości, i tam, gdzie polałaby się niechybnie krew, Sebkowi odpuszczano. W praktyce zadowalali się tym, co Sebek sam uważał za należną im daninę.

Toteż natychmiast zawiadomili go, że z napadem nie mieli nic wspólnego.

Sebek podejrzewał jakąś konstytuującą się grupę młodych wilków próbujących wyłamać się spod przemocy starych gangów i nosił się z zamiarem ewentualnego powyrywania im nóg z dupy, a Gites utwierdzał go w przekonaniu, że nie jest to niemożliwe.

Zawiadomiona policja przyjęła natomiast wersję napadu na samego siebie, kiedy dobrała się do dokumentów, z których wyniknęło, że każda z ciężarówek była zaasekurowana w Niemczech na ćwierć miliona marek.

Rański, który rozpoczął trudne pertraktacje z hanowerskim ubezpieczycielem, przychyłał się w duchu do opinii policji.

To było w stylu Sebka, a żal za utraconymi ciężarówkami mógł być równie autentyczny, jak chęć zgarnięcia wyśrubowanego odszkodowania, gdyby auta się nie znalazły. Ale teraz, w pół roku później, role się odwróciły. Sebek zaczął przyzwyczajać się do myśli, że napadł go Rański. Gites nie był w stanie odwieść go od tego pomysłu. Im bardziej próbował, tym pomysł w czaszce Sebka krzepł, okopywał się, tężał w uporze. Sebek bliski był przesądzenia, że rabunek DAF-ów to uwertura do ponurej symfonii, którą właśnie mu zagrano.

Rański nie znał podejrzeń Paślawskiego, więc gdy ten zapytał go przy okazji o urlop, Rański odpowiedział zgodnie z prawdą, że podróż nie była udana. Ale kiedy Paślawski spytał, czego mu w niej zabrakło, Rański zawahał się, odpowiadając, że pogody.

Sebek roześmiał się wtedy ponuro. To mu się zdarzało. Miał dwa śmiechy, na różne okoliczności. Raz uśmiechał się beztrąsko, raz ponuro. Śmiechu

Sebka nie można było przewidzieć, jego rodzaj – tak. Kiedy Sebek zaczynał się śmiać, to każdy, kto go choć trochę poznał, domyślał się, czy chodzi o humor, czy złość. Rański znał go na tyle, by ten drugi śmiech go zdziwił.

– Co było nie tak?

– Wyż – odrzekł Rański – liczyłem na wyż.

– Co za wyż?

Rański zastanowił się, jak zamknąć w dwóch, trzech zdaniach naturę letnich wyżów nad środkową Wołgą. Chciał użyć słowa: astrachański, lecz powiedział: kazański.

– Słucham? – Sebek zgasił w sobie drugi śmiech jak płomień kocem.

Rański odczekał chwilę, w której Sebek spurpurowiał i zbladł, zatrząsł się i zeszywniał, ogarnął się i rozpadł, nim wycedził przez zaciśnięte zęby:

– Kazański.

W jakiś czas potem Sebek nieuspokojony, ale opanowany, wyraził przypuszczenie, że sam Kazań Rańskiego nie zawiódł.

– W Kazaniu było dziwne światło.

– Co to znaczy?

– Że dzień był pochmurny, deszczowy, lecz letni – odpowiedział mu Rański, niechętnie wracając do wspomnienia, że miał nieodparte wrażenie oglądania nocnego miasta w zimie, że przez dwa dni pobytu ani razu go ono nie opuściło, że mimo bezładu, niechlujstwa, wyzywającej nonszalancji, gwałtu ledwo przyczajonego w każdym zaułku, czuł się w tym mieście jak u siebie, co wcale nie znaczy, że dobrze lub bezpiecznie, ale jak u siebie, że zwiedzał je z poczuciem jakiejś męczącej genetycznej pamięci.

Rański zamyślił się i po dobrej chwili odpowiedział Sebkowi coś, co on w nim mimowolnie wywołał:

– Wie pan, kiedy podjechaliśmy pod kreml, z auta wysiadłem ostatni, ale gdy wcześniej spojrzałem przez szybę na białe mury ledwo odcinające się od nieba, na baszty, blanki, bramy, meczety, na sobór Pawła i cerkiew Błagowieszczęńską, to nie miałem wrażenia, że oglądam go po raz pierwszy, przeciwnie, że oglądam coś, co dobrze znam, dobrze pamiętam, czego się co najwyżej wyrzekłem.

Rański pomyślał też o obrazie, który go dopadł w Kazaniu, jak zimową nocą, w uniformie gimnazjalisty lub studenta jedzie na południe i zachód i w miarę trwania podróży przybywa śniegu, mimo że zbliżają się do suchych stepów, jak ten śnieg coraz bardziej lśni wśród szyn, kiedy on, Rański, stoi w drzwiach ostatniego wagonu i przypatruje się ceniom mijanych pejzaży, nim dobrze już w dniu wyskakuje prawie w biegu na osamotnioną platformę, a jego nozdrza, mimo suchego mrozu, łapią zapach koni okutanych w derki. Jak zdrowo zziębnięty, po kilkunastogodzinnej sennie, zachodzi do zawsze niedogrzanego domu przytłaczającego swoją niepotrzebną już wielkością, z wonią, mimo ogni w kominkach, pleśni i grzyba. I jak obserwując tego podnieconego młodzieńca przebiegającego pokoje, rozgrzewającego dłonie nad płomieniami, sam był, i wtedy w Kazaniu, i teraz w Warszawie, chłodny i obcy.

– Kto wysiadł przed tobą? – doszedł go odległy głos Sebka, jakby z głębi domu, do którego przybył.

Rański zapytał nie od razu:

– O co pan pyta?

– O to, kto wysiadł przed tobą. Podjechaliście pod Kreml i wysiadłeś z auta ostatni. Ktoś musiał być przed tobą. Kto? Ludzie z Kazania?

– Wie pan – Rański odpowiedział po długim namyśle, który Sebka utwierdził w najgorszym przypuszczeniu – zdarza się, że wracamy do punktu wyjścia, do źródła, do korzeni, do siebie, że odnajdujemy się w tym i tamtym i że nic z tego mimo naszej najlepszej woli nie wynika. I że nie jest to przyjemne. Nie rozwiewa to naszych nadziei, tylko utwierdza w przekonaniu, że nic nie jest w stanie nas zmienić. A przyjemność to zmiana.

Zastanowił się, czy w jego przypadku w ogóle było co rozwiewać, czy nie oszukuje siebie lub sobie nie schlebia, gdy Sebek po raz drugi zapytał o ludzi z Kazania.

– Wszystko, co mogę powtórzyć o tym mieście – odpowiedział Rański – to to, że było w nim dziwne światło. Przykro mi, panie Paślawski, ale wygląda na to, że nic innego nie zwróciło mojej uwagi.

Tydzień później, podczas mimo pozorów rozdokazywania posępnej balangi wydanej jak zwykle w apartamencie jednego ze stołecznych hoteli, kiedy uporczywy deszcz pędzony wiatrem uderzał ścianami wody w szyby, do środka wpadł skąpany w wilgoci Gites i biorąc Sebka na stronę, powiadomił go o śmierci dwóch wynajętych ukraińskich kierowców, w dwóch odległych od siebie końcach miasta w tym samym czasie.

Rański nie wiedział, w jakiej sprawie został odwołany do kibla Sebek, ale dzień później, kiedy przejęty Gites poinformował go o dintojrze, zadzwonił do Paślawskiego i nie ukrywając pogróżki w głosie, przestrzegł go przed pochopnym wyciąganiem wniosków, które tylko pozornie łączy przyczynę ze skutkiem.

– Co przez to rozumiesz? – zapytał Sebek głucho do słuchawki, a Rański odpowiedział mu pytaniem:

– A jak pan myśli, panie Paślawski?

Sebek jednak już nie myślał. Widać, zawsze wszystkiego było w nim za dużo. Przedtem odwagi, teraz lęku. Nie znaczyło to jednak wcale, że lęk mógłby go pochłonać. Nic Sebka nie mogło pochłonać, póki żył. Taką miał naturę. Nie na swoje szczęście, jak się wkrótce okazało.



## IV

Był ścięty zimowym już chłodem październikowy wieczór, gdy w mieszkaniu Rańskich odezwał się telefon.

Odebrała matka. Rański leżał u siebie w pokoju, wpatrując się niemo w sufit, więc usłyszał rozmowę, która wprawiła go w podniecenie. Matka rozmawiała czasami po rosyjsku z Lubow Kiryłowną, kiedy starsza pani, znudzona samotnością, dzwoniła, by powiedzieć, że jeszcze niestety żyje, i zapytać, czy z nimi jest podobnie, ale ten telefon nie był od ciotki.

– Wy skazali: barynia? Nieabyknawienno... – odezwała się z niedowierzaniem matka. Potem kilkakrotnie powtórzyła: da, eto ja, takim tonem, jak gdyby nie była wcale tego pewna, i po długiej chwili niespokojnego milczenia poprosiła syna.

Dzwonił inżynier. Prosił o spotkanie. Najlepiej jutro. zaproponował wczesny obiad w rosyjskiej restauracji. Umówili się na pierwszą. Rański zapytał go, skąd dzwoni, a inżynier odpowiedział po namyśle, że to w zasadzie bez znaczenia, i odłożył słuchawkę.

– Dziwny człowiek – szepnęła matka, odwróciła się i weszła do swego pokoju.

– Rosjanin – rzucił za nią Rański.

– Chyba nie – odpowiedziała matka, nie odwracając się do syna.

– Chyba tak – szepnął Rański i podniecony zaczął spacerować po przedpokoju. Włączył telewizor, ale nic nie obejrzał, zrobił sobie herbatę, ale jej nie wypił, zapalił papierosa, ale go nie dokończył. Włożył prochowiec, szalik, kapelusz i tak zaaranżowany, bez żadnej zresztą intencji, na Humphreya Bogarta wyszedł z domu.

Wrócił po północy, zmęczony i zmarznięty, ale nie zasnął.

Rano długo leżał w skotłowanej pościeli, powalony bezsennością. Wstał przed jedenastą. Wymoczył się w gorącej wannie, orzeźwił lodowatym

prysznicem, wypił mocną kawę i wcześniej niż trzeba wyszedł na spotkanie. W samochodzie poczuł się zaziębiony, co zresztą o tej porze roku zdarzało mu się często. Było mu na przemian gorąco i zimno.

Rozjaśnione neonem lustro odbiło jego drobną sylwetkę i nienaturalnie zaczerwienioną twarz.

W pustej sali przy sześciuosobowym stole czekał już na niego inżynier. Wyprężył się na powitanie, odsunął daleko za siebie krzesło i strzelił obcasami. Poczekał, aż Rański zajmie miejsce, po czym długo w milczeniu przeglądał kartę.

Ślad nawet w nim nie został po stołypinowskim inteligencie. Był ostrzyżony do skóry, gładko wygolony, wyprostowany, zamaszysty i po wojskowemu zasadniczy. Dopasowana do ciała kurtka o oficerskim kroju, zapięta na wszystkie metalowe guziki, podkreślała szerokość ramion. Muskularna szyja ledwo mieściła się między rozetami stójki. Twarz ściągnięta, rozparta grubymi kośćmi policzkowymi, stała się groźna.

Nie łagodziły jej już czechowowskie binokle.

Wilk, pomyślał Rański, mocując się z falą niemiłego gorąca, stary wilk.

Inżynier zatrzasnął kartę, przywołał kelnera, a gdy ten pochylił się nad nim w kelnerskiej gotowości, rzekł zuchowato:

– Pomówić chciałbym z panem, Aleksandrze Mikołajewiczu, o przyjemności.

– W tej chwili? – wzrok Rańskiego zatrzymał się na wysokim czole inżyniera, ale szybko z niego umknął. – Rozmawialiśmy już o tym.

– Kiedy, Aleksandrze Mikołajewiczu, i gdzie?

– Latem, na Wołdze.

Inżynier zamówił ryby, jajka na twardo, półmisek zimnych mięs, kilka sałat, kilka sosów i dwie butelki borżomi.

– Coś pan sobie dobierze – powiedział od niechcienia do Rańskiego, a kelnera poprosił o staranność.

Odchylił się na krześle, imperialnie rozparł i przeszywając Rańskiego na wylot spojrzeniem bladych źrenic, rzekł chłodno:

– Musieliśmy jej nie dokończyć.

Kiedy Gites poinformował Sebka, że Rański przyjął na lunchu w rosyjskiej restauracji pięćdziesięcioletniego faceta, którego widok budził respekt, Sebek stwierdził natychmiast, że to ten trzeci.

– Który trzeci? – zapytał Gites, jak pytamy dzieci skłonne do nieposkromionej konfabulacji.

– Ten, który miał dojechać – odpowiedział Sebek.

Gites pomyślał wtedy, że jego mentor, szef i kumpel znalazł niezrozumiałą dla niego satysfakcję w zadawaniu sobie cierpienia, że tak jak szykował pułapki na innych, tak wyszykował teraz na siebie, że to jak wszystko inne minie z czasem i jak wszystko inne nie pozostawi śladu na brutalnej naturze Sebka, że pożytek z tego dla nich obu żaden, ale i szkoda niewielka, że tego, co ich spotkało, ukryć się nie da, sakramencki niefart, który nie niesie z sobą jednak nierozpoznawalnej, niemożliwej do pokonania mocy.

Kiedy jednak dwa dni później zobaczył drobniejszą niż zwykle, przygarbioną postać Rańskiego i jego mizerniejszą niż zwykle twarz pałającą gorączką podniecenia i nieumiejętnie skrywaną chęcią odwetu, doszedł do przekonania, że poważny i desperacki nastrój kumpla nie jest być może aż tak nieuzasadniony, jak dwa dni temu sądził.

– Nazwał mnie śmieciem? – zapytał Sebek, gdy dźwiękoszczelne drzwi gabinetu zamknęły się za Gitesem.

Rański, udając zakłopotanie, potwierdził.

– Kto to jest?

– Miły człowiek, nawet mówi trochę po polsku, kultura, dobre maniery. Przy pozorach twardości sprawia wrażenie sybaryty.

– Kogo?

– Człowieka przyzwyczajonego do wygod.

Sebek wtulił głowę w mięsiste barki i z rękoma w kieszeniach spodni przesunął się przez gabinet w tę i tamtą. A Rański, nie ruszając się z miejsca, chłonał. Powoli, ale chłonał. Rzekł tak cicho, tak ostrożnie i tak od niechcienia jednocześnie, że Sebkiem zatrzęsa trwoga i złość.

– Pan Paślawski to mierzwa, idół, smiet, kilkakrotnie powtórzył mój gość. Poza normą, zasadą, hierarchią, dodałem. Nie mógł się ze mną nie zgodzić.

Rański wsunął dłoń do kieszeni spodni. Sebek zrobił to samo, ale zaraz ją wyjął. A Rański nie.

– Ma się rozumieć, zanurzyliśmy się też na chwilę w przeszłość, jak to z Rosjanami bywa, ale nie na długo, tak tylko, by opłukać się z banału teraźniejszości.

– Kto to jest? – zapytał Sebek już podszyty tą nikczemnością, jaką tworzy strach zbratany ze złością.

– Niewątpliwie człowiek Wschodu – odpowiedział Rański. – Nieobce mu są swawole i szaleństwa. Od czasu do czasu lubi zabawić się cudzym kosztem. Zakpić z tego czy tamtego, sam pan rozumie. Ale kiedy wspomniał o ludziach honoru, to spoważniał.

– Jakich ludziach honoru?

– Zapytałem go o to. Odpowiedział: w moim i pańskim kraju. To nas łączy. Wobec czego, zapytałem. Odpowiedział: wobec mierzwy.

Światło tak się ułożyło, że jedna strona gabinetu była jasna, a druga ciemna, tym samym jedna nowa, a druga stara, tym samym jedna mocna, a druga słaba, z tego wynikało, że jedna lepsza, a druga gorsza. Sebek zapytał głucho z gorszej:

– Jak go nazywają?

– Nigdy mi się nie przedstawił – odpowiedział Rański – ale wiem z Wołgi.

– Więc?

– Nazywa się Nikon... – Rański strzelił z palców – ...Meria.

– Beria? – Sebek wynurzył się z gorszej strony, ale nie wszedł w lepszą. Jakby nie śmiał.

– Powiedziałem Beria? – Rański wyciągnął do Paślawskiego dłoń i zachichotał. – Ale pan mnie zapytał, o ile dobrze zrozumiałem, jak go nazywają.

– No to powiedziałaś.

– Niezupełnie – Rański zachichotał znowu. – W Rosji mówią o nim: wilk kazański.

– Wilk...?

– Kazański.

Sebek pokręcił głową i westchnął. Minęła dobra chwila i Sebek zapytał po raz drugi, ciszej, natarczywiej, błatniej:

– Więc kto to jest?

Rański wstał z miejsca. Podeszedł do dźwiękoszczelnych drzwi gabinetu, zwykle otwartych lub uchylonych, położył dłoń na klamce, spojrzął na Pasławskiego i gwałtownie je otworzył. Do środka wessało silny zapach machorkowego dymu. Sebek cofnął się w głąb, a Rański zamasyście zamknął drzwi, jakby był u siebie. Wrócił do krzesła, ale na nim nie usiadł. Rzekł pewnie:

– Nie mylił się pan. Ten trzeci.

Sebek nie przypuszczał, że ktokolwiek może potwierdzić jego najgorsze podejrzenia. Miał swoje sposoby na życie i rozumiał, że czasami trzeba brać sprawy za łeb, a czasami, dzięki Bogu rzadziej, im się poddać, przyjmując najniepomyślniejszy bieg wypadków. Zaklinanie losu nie było jego specjalnością. Ponieważ założył jednak, że życie to gra, brał pod uwagę również taką ewentualność. Ale od wzięcia jej pod uwagę do realnego potwierdzenia droga, tak sądził, daleka. Szybkość, z jaką ją pokonał, mimo wszystko go zaskoczyła.

Obserwując spacer notariusza po swoim gabinecie, wyzbyty tego charakteryzującego go zawsze skrępowania, zastanawiał się nie nad tym, jak go wykpić, upokorzyć, poranić, ale jak samemu się przed tym uchronić.

Prawdę powiedziawszy, nic mu do głowy nie przychodziło.

Rański zatrzymał się w pewnym momencie, zawahał, obszedł rozrośnięte biurko i ostrożnie, przeciągając chwilę, zasiadł na obrotowym fotelu szefa.

– Niezłe miejsce, co? – głos Sebka dobiegł z głębi gabinetu jak z głębi domu.

– Chyba tak – odpowiedział Rański. Pochylił się nad biurkiem, mocno splatając dłonie. – Ale nie dla mnie.

– A co jest dla ciebie?

– Powiedziałbym, że przyjemność.

– Przyjemność?

– Tak bym powiedział, panie Pasławski.

Sebek wsparty szeroko rozstawionymi dłońmi o parapet okna, odwrócony tyłem do wnętrza, rzekł, jakby sam w to nie wierzył:

– No to postaram ci się ją zepsuć.

Rański wyciągnął się na fotelu. Przeniósł splecione palcami dłonie za kark. Była to swoboda nieco upozowana.

– Musiałby pan znać i rozumieć jej naturę.

– Mogę się jej domyślić.

– Nie sędzę. W przyjemności, jaką mam zamiar odczuwać, pańska firma nie ma udziału. Nie chodzi o firmę.

– A o co?

– O pana. I o pana kumpli. Nie mam powodu, by sobie schlebiać, ale kiedy widzę, jak się pan szamota w kleszczach lęku, jak trzęsie się panu tłusty tyłek, jak myszkuje pan rozbieganymi oczami, a niepewność pokrywa krzykiem, to odczuwam przyjemność. Podobnie jak oni.

Sebek odwrócił się gwałtownie od okna i zapytał:

– Którzy?

– Meria i jego ludzie – odpowiedział Rański, nie przestając demonstrować tej nieco upozowanej swobody. – Kiedy mówią o mierzwie i swołoczy, odczuwają dreszcz podniecenia.

Rański przywołał Sebka palcem i ten, zdziwiony swoim posłuszeństwem, podszedł.

– Pieniądze, wpływy, władza nie są celem – Rański wycelował nerwowy palec w czoło Sebka – są środkiem. Celem jest przyjemność. W moim przypadku tym większa, że nieoczekiwana.

– Na jak długo? – warknął Sebek.

– To zależy ode mnie.

– Powiedziałbym, że niezupełnie.

– Niezupełnie?

– Tak bym powiedział, rejent. Bo zepsuję ci ją.

– Na to trzeba odwagi

– Nigdy mi jej nie brakowało.

Rański zakręcił się na fotelu. Odczekał, aż ruchliwy mebel zatrzyma się,

i odpowiedział z przekonaniem:

– Dotychczas.

Wieczorem tego samego dnia Rański zapytał matkę o esauła Filipa Siemionowa.

– Nigdy się z nim nie zetknęłam – odpowiedziała matka, składając dłonie nad parującą szklanką herbaty w metalowym koszyczku – ale wiem, że twój ojciec i dziadek wiele mu zawdzięczali.

– Jak to się stało, że nic o tym nie wiem? – zapytał Rański, siadając po drugiej stronie kuchennego stołu, już poza światłem z nisko zwisającej lampy.

– O wielu rzeczach nie wiesz – odpowiedziała ostro matka z nieukrywaną wręcz pretensją, że tylko ona, samotnie, musi się zmagać z rodzinnymi tajemnicami. – Ale czemu pytasz, Aleks?

Rański odpowiedział, że esauł Siemionow, wydany przez Brytyjczyków Stalinowi, cudem ocalały z tortur, więzień i łagrów, jest honorowym komisarzem wystawy, na którą go zaproszono, wiosną, na Kubań.

– Co to za wystawa? – zapytała matka.

Rański odpowiedział, że poświęcają ją chwale i męczeństwu Ochotniczej Armii, że w związku z tym w jakiejś mierze jego dziadkowi, że wiadomość o tym przywiózł z Rosji człowiek, z którym kilka dni temu spotkał się w rosyjskiej restauracji.

– Myślisz o tym dziwnym mężczyźnie, z którym zamieniłam kilka zdań przez telefon? – zapytała matka.

Rański potwierdził, po czym zapytał, czemu matka uważa mężczyznę za dziwnego, a matka odpowiedziała, że miał nieprzyjemny akcent, jak ktoś, kto zna język, ale celowo go zniekształca.

– To człowiek z południa – przypuścił Rański.

Matka odpowiedziała, że to go nie usprawiedliwia. Zastanowiła się przez chwilę i dodała:

– Boże, on musi mieć już ze sto lat.

– O kim mama mówi?

– O Filipie Siemionowie.

Rański zachnął się:

– Myślałem, że o człowieku, z którym zjadłem lunch.

Matka zapytała go po chwili namysłu, jak się ten człowiek nazywa i kim jest, a Rański po takiej samej chwili odpowiedział, że nigdy mu się właściwie nie przedstawił, że z zawodu jest inżynierem, ale jako inżynier nie pracuje, poznali się kilka miesięcy temu na Woldze, że reprezentuje teraz jakiś związek, kongregację, sprzysiężenie, diabli wiedzą co.

Potem niepytany przez matkę opowiedział jej o spotkaniu z nieznanym mu właściwie mężczyzną, o mętnej historiozofii, na której ten się wspierał podczas dwugodzinnej rozmowy z irytującym przekonaniem o wyższości Rosji nad resztą świata, o jej posłannictwie i nikczemnym spisku, jaki ją swymi jadami sparaliżował, o obsesyjnej chęci wymierzenia światu sprawiedliwości, nawet za cenę powszechnego nieszczęścia, o niczym nieusprawiedliwionym poczuciu moralnej wyższości, duchowego bogactwa, wewnętrznej głębi skonfrontowanych z płytkością świata, o tajemniczej, nieustępliwej niemożności i przyczajonej, wiecznie się żarzącej w związku z tym frustracji.

– Jak z rosyjskim romansem – rzekł Rański, zapalając papierosa, spowity natychmiast jego aromatycznym dymem – mimo całej jego nieprawdy, tandety, mimo całej lepkości materii nie potrafimy się oprzeć jego uwodzicielskiej sile. Nabierają nas, a my tkwimy nieruchomo, bez protestu, bez rozumu, bez woli.

– O jakim romansie mówisz? – zapytała matka z tym pogłębiającym się w miarę upływu lat wyrazem rybiej tępoty na ciągle ładnej, ciągle dziewczęcej twarzy.

– O jakimkolwiek, mamó. O pierwszym z brzegu. „Mnie niekuda bolsze spieszit, mnie niekawo bolsze lubit”, co za nonsens! Jaka piramidalna, nieustępująca bzdura snująca się przez dziesięciolecia. Jaki odrażający, w istocie, nastrój.

– Lubię ten romans – powiedziała matka i bezbłędnie podchwyciła refren.

– Ależ tak, mamó – zawołał Rański – jak każdy. Jak każdy. Kiedy więc mówię o spotkaniu z dziwnym, jak go mama nazwała, człowiekiem, to



porównuję je do rosyjskiego romansu. Czułem fałszywy ton naszej rozmowy, jej nieprzyjemny zapach, ledwo zawołowaną tandetę, a mimo to nie przerwałem jej, nie wstałem, nie wyszedłem. Przyrzekłem złożyć wizytę sędziwemu esaulowi, pojawić się na wystawie, przywieźć drobiazgi po dziadku i wygłosić przemówienie. To niebezpieczne, mamó.

– Co, Aleks? – zapytała matka po namyśle.

– To, że nie jestem na to obojętny, że łatwo mi się w tym zanurzyć, że mnie to skutecznie uwodzi, że jestem na to wrażliwszy niż inni.

– To zrozumiałe, Aleks – odpowiedziała matka.

– Dlatego niebezpieczne – ostro powtórzył Rański.

Matka opuściła szklanę na stół. Kropelki herbaty rozprysnęły się po obrusie. Zapytała, czego się właściwie lęka.

– Przez kwadrans próbuję to mamie wytłumaczyć! – podniósł głos Rański.

– Bez rezultatu, jak widać – skwitowała sucho matka.

Rański poczuł w niej znany mu upór, rosyjskie ograniczenie, absolutny brak słuchu na nie swoje tony, to, co było w nim złą pamięcią o dziadku.

Wstał gwałtownie od stołu.

Matka, pozostając na swoim miejscu, zapytała, czemu miałyby mówić o nieznanym sobie człowieku, że jest dziwny, i kiedy niby miałyby odebrać ten telefon?

– Wieczorem, we wtorek – odpowiedział Rański, już w drzwiach do swego pokoju.

– We wtorek z Lubow Kiryłowną stawialiśmy pasjansa. Do północy.

Rański huknął drzwiami, aż drobinki tynku posypały się zza framugi. Potem było mu przykro, ale już nie wyszedł od siebie.

Tego samego dnia dwie, trzy godziny później Sebek Pasławski pojawił się w kawalerskim mieszkaniu Gitesa.

Wraz z zimną wilgocią listopadowego wieczoru wniósł do środka ten rodzaj determinacji, brawury, desperacji, których chytry i ostrożny Gites nie lubił, podejrzewając, że kiedyś ich obydwu pogrąży.

Od młodości zaprawiony w walce, niejednokrotnie o życie, wyrobił w sobie pogląd na los, brawurze czy odwadze, nie przyznając czołowych miejsc.

Dlatego, swoim zwyczajem przykrywszy dłońmi wygoloną czaszkę, jęknął:

– Chryste Panie! Sebek! Skąd ja ci w nocy wytrzasnę magnum?

I nie szło Gitesowi ani o porę dnia, ani o rzadką broń, ale o absurdalność samego pomysłu i, niestety, jego wykonalność.

– Rozmawiałem z rejentem – powiedział Sebek, przysiadając na brzegu krzesła. Rozejrzał się machinalnie po ascetycznym wnętrzu i dodał głucho:

– Sam przyszedł.

– A z kim miał przyjść? – warknął Gites. – Pracujecie razem.

Sebek odpowiedział mu cicho:

– Dzisiaj nie przyszedł do pracy.

Gites przespacerował się po pokoju przypominającym mnisią celę. Jego chuda, nieruchoma, drapieżna twarz była w opozycji do rozchybotanego na wszystkie strony ciała, jak gdyby złożono je z gumy i sprężyn. Rzekł szeptem:

– Posłuchaj, Sebek, spotkał się w „Białym Jarze” z jakimś starszym gościem. Wzięli stolik, zamówili sałatki, jakieś ryby. Rański pił coca-cole, a gość wodę. Rozmawiali niewiele i bez bigla. Nie wiemy, o czym. Kazałeś go mieć na oku, no to miałem, ale przecież...

– Potrzebuję klamkę i dwa pełne magazynki – przerwał mu twardo Sebek. – Duży kaliber. Czy to jasne?

– Nie masz żadnych kwitów. Żadnych, Sebek!

Gites pochylił się nad krzesłem zajmowanym przez kumpla i nie wyzwalając się do końca z chytrej pokory, z jaką się do niego zawsze zwracał, rzekł równie cicho, jak cicho doń mówiono:

– Jesteś szajbus, świr, baks. Zawsze sobie mówiłem: Sebek to cholerny, pieprzony, sakramencki szajbus, ale równy koleś. Jeżeli go zgasisz, nie będę już mógł tak powiedzieć.

– To możliwe – zgodził się Sebek.

– Myślisz, że to takie łatwe?

Sebek pokiwał głową.

– Celuje się w łeb i ciągnie za spust. Myślę, że łatwe.

– Też tak kiedyś myślałem.

– Rzecz w tym – powiedział Sebek, owijając się szerokim płaszczem, jakby mimo kaloryferowego gorąca przeszło go zimno – żeby był duży kaliber.

– W porządku – warknął Gites i zwałił się bezsilnie na obleczony szarym płótnem chudy, zgarbiony fotel – ale to musi potrwać. Browning, tetetka, nie ma sprawy... Ale magnum... To musi potrwać.

Sebek nie oponował. Zastygł na brzegu krzesła szczelnie owinięty szerokim płaszczem, z podniesionymi ramionami.

Po chwili, bez związku z celem wizyty, zaczął mówić o synu, którego nie widział od roku. O jego dużych szarych oczach i smykałce do różnych rzeczy, czy to komputer, czy motor, czy piłka.

– Wszystko gnojek umie – dziwił się szeptem Sebek – co mu, kurwa, pokażesz, on już to umie. Ja w jego wieku taki bystrzak nie byłem. Lubię tego chłopaka. Wiesz, o co mi chodzi, Gites.

– Jasne, Sebek.

– Że lubiłbym go nawet wtedy, gdyby nie był moim synem.

– Kto by go nie lubił, Sebek – odpowiedział mu Gites najcieplej, jak umiał, z nadzieją, że amok kumpla minął.

Sebek wstał ciężko z krzesła i ciągle owinięty szerokim płaszczem rzekł, chowając twarz za postawionym kołnierzem:

– Trochę chłopaka zaniedbałem, ale póki się żyje, wszystko można naprawić, nie, Gites?

– Bez dwóch zdań, Sebek.

Paślawski sięgnął po drzwi.

– Dlatego załatwisz mi to, o co cię proszę, jak najszybciej. I nie nawalisz.

Gites rzucił się na chudym fotelu.

– Gdyby co...

– To nie zapomnij – odpowiedział jak echo Sebek, już zza progu.

W sąsiedniej klatce głośno ruszyła winda. Ktoś huknął drzwiami, aż ściany bloku zadrżały. Gites bezsilnie zwisał z poręczy, a kroki Sebka cichły na schodach.

Dziewczyna wstała z łóżka i zaczęła się ubierać.

Miała lat szesnaście, kłamała, że jest pełnoletnia, pochodziła

z Petersburga, ale to też nie była prawda.

Rański lubił ją obserwować. Czasami dochodziło między nimi do zbliżeń, czasami nie, ale tak czy owak, kiedy spotykali się raz w tygodniu w jednym z kilku wynajmowanych przez Sebka mieszkań, nie spuszczał z niej oka.

Lubił też jej milczenie. Jeżeli to nie było konieczne, dziewczyna nie odzywała się, jeżeli do niej mówił, nie miał wrażenia, że go słucha, i to mu odpowiadało.

Zastanawiała go też niczym niepokalana bezmyślność rysująca się na jej drobnej twarzy i pytanie, czy pod strugą opadających na czoło jasnych włosów łęgnie się czasami jakaś refleksja, a jeżeli tak, to czego może ona dotyczyć: pieniędzy, przyszłości, cierpienia, zadowolenia, przemijania?

Nigdy nie chciało się jej pić, nigdy nie była głodna, senna, zmęczona, nigdy smutna ani uradowana, jak gdyby emocje obchodziły ją bokiem.

Lakierowała sobie paznokcie na czarno i kładła grubą warstwę marnego tuszu na powieki, który zawsze rozmazywał się na poduszce.

Nie wydawała, bez względu na dni i okoliczności, żadnego zapachu. Bezwonność przystawała do niej w tym samym stopniu, co milczenie.

Mimo to Rański czasami coś do niej mówił, o coś pytał, coś podkreślał, a inne pomijał. Czasami jej też coś opowiadał.

Dzisiaj miał ochotę opowiedzieć jej o kurii i księdzu Konstantym.

Lubił kurię. Ilekroć wchodził do rozległych, ciemnych wnętrz z zapachem woskowej pasty do podłogi i – tak mu się zawsze wydawało – mirtu, czuł się w swoim świecie.

Od kiedy pamięta, pozbawiony instynktu Boga, wolny od potrzeby wiary i religii odczuwał mocno nieprzemijalność i naturalne dostojęstwo tego urzędu. W zawierusze zmian, w rzece niestałości, ofensywie doraźności, od której niewolny był Kościół i jego kapłani, kuria przechowywała wszystko to, co jemu jako obywatelowi i człowiekowi było bliskie.

Podobała mu się atmosfera dyskrecji i eleganckiego, był o tym przekonany, nieróbstwa, jakiemu z wdziękiem oddawali się kościelni i świeccy funkcjonariusze urzędu. Podobała mu się hierarchiczność zachowań i naturalny hołd składany zasodom dla zasad. Podobała mu się,

wierzył w to głęboko, cała absolutna bezcelowość podejmowanych działań i towarzyszący im rytuał.

Uważał się za niewielki, ale oczywisty element tej konstrukcji i nie schlebując sobie przesadnie, sądził, że bez jego wizyt urząd nie byłby tym, czym jest.

Jak zawsze wychodził mu naprzeciw młody, krępy ksiądz w niemodnych rogowych okularach i jak zawsze drogę przecinała im bezszelestnie eteryczna, szybka jak płomień zakonnica z uniesionym, nieco ptasim profilem.

Prowadzono go do owalnego pokoju, z nieszczelnym oknem, z którego zawsze, niezależnie od pory roku, ciągnęło chłodem.

Jak zawsze siedział tak, by wiry przeciągu mieć przed sobą, a nie za plecami, i jak zawsze odpowiadał, że nie ma pośpiechu, gdy młody krępy kapłan informował go, że ksiądz Konstanty przyjdzie tak szybko, jak to tylko będzie możliwe. W dwie, trzy minuty później witał się z wysmuklonym przez sutannę czterdziestolatkiem i ścisnął mocno, coraz mocniej, nerwową, wilgotną dłoń.

– Poznaliśmy się półtora roku temu – rzekł głośno Rański, poprawiając się w pościeli. – Przyszedł do mego biura z pytaniem, czy nie podjąłbym się obsługi notarialnej kilku drobnych rewindykacji kościelnych w Warszawie. Nie wiem, dlaczego wybrał akurat mnie, i do dzisiaj mi tego nie powiedział, ale wiem i wiedziałem to wtedy, że ten wysoki, bardzo szczupły ksiądz o ujmującym sposobie bycia i nieco semickiej twarzy skrywa jakąś bolesną tajemnicę.

– Od razu pomyślałem o herezji, Parania – Rański nie przestał przyglądać się nieruchomej, porcelanowej twarzy dziewczyny, twarzy zapowiadającej nieodległe zordynarnienie. – Heretyka rozpoznaję jak pedała, od pierwszego spojrzenia. Ten neurotyczny kapłan ma skłonność do nieostrożności, w żadnym wypadku do ryzyka, ale właśnie nieostrożności. Dlatego kiedy zastanowiłem się nad przyczyną nagłej niełaski przerywającej brawurową watykańską karierę, od razu przyszła mi do głowy nieostrożność, jak świetnie wiesz, matka każdej herezji.

Rański kazał sobie podać koszulę i krawat. Dziewczyna nie ruszyła się z miejsca między oknem a podwójnym łóżem udekorowanym zwojami akantusa, ani ubrana, ani nieubrana. Rańskiego nie zdziwiło jej nieposłuszeństwo, jakby się już do niego przyzwyczał, może nawet polubił. W każdym razie mówił dalej:

– Myślę o czymś więcej niż tylko utrata wiary w Boga, w sens istnienia, w niezależną od naszych starań złowieszczą równowagę dobra i zła, myślę o czymś więcej niż smutek i niemożność. Nie wchodząc w szczegóły, Parania, należy sobie zadać pytanie, czy moja skłonność do tego człowieka wzięła się ze współczucia, czy może raczej solidarności w przekonaniu o nadaremności życia? Czy moje wizyty w kurii zaspokajają w jakiejś mierze nieokiełznaną potrzebę przyjemności i schlebiają przekonaniu, że znalazłem tam bratnią duszę? Nie byle jaką bratnią duszę. Chciałabyś znaleźć bratnią duszę? – zapytał Rański, podnosząc się z łóżka, nagi, drobny, kształtny, nerwowy, a jednocześnie powolny.

Dziewczyna nie poruszyła się. Rański odpowiedział sam sobie:

– Masz rację. Po cholere nam bratnia dusza. Z własną sobie człowiek nie radzi.

W kwadrans później już ubrany rzekł od niechcienia:

– Opowiadam ci o tym dlatego, że od kiedy się spotykamy, każda moja wizyta w kurii poprzedzona jest wizytą u ciebie, jak gdyby jedno nie mogło istnieć bez drugiego, a dzień, w którym poznałem księdza Konstantego, był dniem, w którym napisałem pierwszą chytrą umowę Sebkiowi Pasławskiemu, a więc był to dzień, kiedy uczyniłem pierwszą koncesję na rzecz tego śmiecia. Ty znasz Sebka?

Dziewczyna zaprzeczyła powolnym ruchem głowy.

– Ale słyszałaś o nim.

Dziewczyna potwierdziła, milcząc.

Godzinę później Rański przeszedł wysokie drzwi urzędu.

Naprzeciw nie wyszedł mu młody, krępy ksiądz i szybka zakonnica nie przecięła im drogi. Zdejmując płaszcz, kątem oka zauważył ciemnego jak noc oficjała.

Zaprowadzono go do pustej sali konferencyjnej. Oficjał zbliżył się do krawężnego stołu, splótł dłonie, uniósł się na palce i opadł.

– Zmieniło się coś? – zapytał Rański po kilku minutach milczenia.

– U nas? – człowiek zawahał się – ...nie, nie.

Rański powiedział w związku z tym, że sprawy, które prowadzi, mają się dobrze. Oficjał wznosił się na palce. Uśmiechnął się lodowato. Miał suchą, bladą, twardą twarz.

– Jak dobrze?

Rański rozłożył ręce i prostokątna walizeczka na szyfr zadyndała w powietrzu.

– Dzwoniliśmy do pana kilkakrotnie...

Rański postawił walizeczkę na podłodze i sięgając po chustkę do nosa, rzekł, odchrząkując nerwowo:

– Sprawię sobie telefon radiowy.

– To dobry pomysł – powiedział oficjał i opadł na pięty. Dodał, że pod nieobecność księdza Konstantego wikariusz generalny nie zdecydował się wyznaczyć nikogo innego na jego miejsce, że rzeczy toczyć się będą swoją koleją, że zalegająca gratyfikacja za usługi prawne napłynie do kancelarii Rańskiego w dwóch ratach najpóźniej do połowy przyszłego miesiąca, że gdyby jakieś dokumenty...

Notariusz nie słuchał. Niepoproszony o to, usiadł na krześle i patrząc na dalekie, pociemniałe od zimowego smogu szyby, rzekł cicho:

– To dziwne.

Równie cicho odpowiedział mu oficjał:

– Bardzo.

Wychodząc z bramy, sięgnął po papierosa. Nie miał ich w kieszeniach. W najbliższym kiosku poprosił o karton rothmansów. Gdy sprzedawca wygrzebywał papierosy z za stosu czasopism, w jednej z gazet Rański przeczytał tytuł: „Nosił wilk razy kilka...”, a potem krótką notatkę, że o świcie na jednym z peronów Dworca Wschodniego zastrzelono rosyjskiego gangstera, zwanego Wilkiem Kazańskim.

Uwagę Rańskiego, nim zaczął kojarzyć jedno z drugim, zwróciła fotografia,

na której inżynier, ubrany w strój rosyjskiego detalisty, a więc połyskujący dres, skórzaną kurtkę i pociemniałe adidasy, leżał z twarzą przyciśniętą do peronu, a w rozwartym szeroko oku zatrzymał się strach i zdziwienie.

Obracał gazetę na wszystkie strony i początkowe spontaniczne niedowierzanie zamieniało się w pewność, że krwawej egzekucji dokonano na jego rosyjskim znajomym.

Gdy wrócił do domu, matka, opowiadając mu o telefonicznej rozmowie z ciotką Lubow, w której poinformowała ją o projekcie kubańskiej wystawy, dodała, że w dziennikach radiowych jako pierwszą podano wiadomość o śmierci w Warszawie rosyjskiego bandyty, jak gdyby nic ważniejszego się nie wydarzyło.

Bardzo zagadkowe wydało się to Rańskiemu, ale śmierć inżyniera go nie przejęła, jakby zabito kogoś, kto w istocie nie istniał.

Przez dwa dni dyżurował u siebie, załatwiając jakąś notarialną drobnicę, trzeciego dnia, po dwugodzinnej wizycie w urzędzie skarbowym, podczas której bezskutecznie próbował przekonać wyleńiałą i antypatyczną urzędniczkę do racji Paślawskiego, racji, której zresztą nie podzielał, godząc się w duchu z argumentacją urzędu, pojechał na Saską Kępę.

Przyjął go w gabinecie Sebka jeden z ekspedytorów. Zawiadomił Rańskiego, że szefa nie ma i przez jakiś czas nie będzie, że to samo dotyczy Gitesa i pod nieobecność tych dwóch on właśnie został wyznaczony.

Był to młody, inteligentny, źle wychowany człowiek, zawsze trochę naburmuszony i arogancki. Sebek cenił go za energię, zaradność i oddanie firmie. Jego solidaryzowała z Sebkiem pogarda, jaką żywił dla inteligencji Rańskiego, nieopanowana chęć dotknięcia go chamstwem i poczucie, jeżeli nie wyższości, to przewagi, w firmie i w życiu. Młodszy od Sebka o dekadę, a więc o dekadę mniej doświadczony, ale i o ten brak doświadczenia czystszy, zadomowił się w nowych czasach, na miarę swoich możliwości rozepchał, nie ukrywając, że kiedy Sebek w naturalny sposób podupadnie, skoczy mu do gardła.

Jak wszystkich, Sebek trzymał go krótko, ale rozumiał w nim ten apetyt i się z nim godził. Toteż nieokreśloność, z jaką młody ekspedytor



reprezentował siebie, szefa i firmę, melanz wrogiej nieufności z respektem, a nawet strachem bardzo Rańskiemu pochlebił. Notariusz przedłużył rozmowę ponad potrzebę i im dłużej ona trwała, zawieszona w niedomówieniach i przypuszczeniach, zakłopotanie ekspedytora rosło.

W pewnej chwili Rański zajął miejsce Pasławskiego na obrotowym fotelu. Ekspedytor umknął na drugą stronę biurka.

Rański uprzejmie zapytał:

– Na pewno?

– Nie wiem, o co panu chodzi – młody człowiek cofnął się w stronę drzwi. Zwracał się do Rańskiego na pan, mimo że wcześniej tykał go tak samo jak Sebek.

– Proszę się nad tym zastanowić – odpowiedział mu Rański, zgarnął dokumenty, z którymi przyszedł, i rozdeptując peta na lśniącej posadzce, opuścił gabinet.

Nie pojawił się w nim już nigdy.

Dwa tygodnie później odwiedził Sebka, na jego prośbę, w areszcie na Rakowieckiej.

## V

– Nie jest źle! – zawołał Sebek, wchodząc do pokoju widzeń, kwadratowego pomieszczenia z zawieszonym tu męskim smrodem, z trzeszczącą pod każdym krokiem podłogą, ze ścianami pociągniętymi do samej góry olejną farbą i okratowanym oknem tuż pod sufitem, napędzającym do środka zdumiewająco dużo światła.

– Rozwaliłem łeb gangsterowi. Wielkiemu ruskiemu gangsterowi. Chciał mnie ograbić i skasować, ale byłem szybszy. To ja żyję, nie on. Więc nie jest źle. Jeżeli przychodzisz mnie pocieszyć, to daruj to sobie, bo nie jest źle.

I na pierwszy rzut oka nie było. Sebek wyglądał dobrze. Areszt go wyszczuplił, zbrodnia uspokoiła, świadomość nieodwracalności czynu zreflektowała.

Nie przestał być narwańcem, ale jego szajba podszyta była teraz wyczuwalną potrzebą ogólności.

– Wilk Kazański pożarł już niejednego – rzekł, siadając na taborecie i opierając łokcie o kiwający się, pokancerowany stół. – Chciał pożreć Sebka i się udławił. Chłopaki w celi wiedzą, kogo zgasilem, i szanują mnie. Nie tylko oni, ma się rozumieć. Szanują mnie ci z pralni i z kuchni, i klawisze, nawet ci z bezpieki.

Sebek odwrócił się w stronę strażnika i poprosił go, by na pięć minut wyszedł. Strażnik zrobił to bez ociągania, zamykając za sobą dyskretnie drzwi.

– Bo wiesz, rejent, odwiedzają mnie tu kolesie z bezpieki – Sebek pochylił się nad stołem i zniżył głos – czasami raz, czasami dwa razy dziennie. Posiedzą, pogadają, pożartujemy, pośmiejemy się... Mam osobną celę, wydzielony sektor, wzmocnioną ochronę podczas transportów. Bronić mnie będzie Lanca. Słyszałeś o nim?

Rański potwierdził ruchem głowy.

– Nie ma od niego lepszego – ciągnął Sebek – jest zajęty, ale dla mnie znalazł czas. Wczoraj był u mnie jego asystent. Pytam się go, ile to będzie kasy, a on do mnie, że nie ma sprawy. Nie ma sprawy, mówi do mnie, panie Sebku. Obsłużyć pana to dla mecenasa Lancy zaszczyt. Kumasz, rejent, zaszczyt. W firmie też wreszcie porządek. Tiry ruszyły, Witia się znalazł, jego chłopaki również. Beniek rychtuje na marzec duży transport tajskiej elektroniki. Co u ciebie?

Rański rozłożył dłonie.

– A u mamusi?

– Mojej?

– No przecież nie mojej – obruszył się Sebek.

– Ma się dobrze – odpowiedział Rański, przypatrując się uważnie twarzy Sebka. – A czemu pan pyta?

Sebek odpowiedział po namyśle:

– Bo mamusię ma się tylko jedną.

– No tak – westchnął Rański i też pochylił się nad stołem.

– Co panu przyszło do głowy?

– O co pytasz, rejent?

– O to, co pan zrobił. Przecież to absurd.

– A miałem wybór? – Sebek rzucił się przez stół do przodu, rozplaszczając się na pokancerowanym blacie. Jego głowa znalazła się tuż pod brodą Rańskiego.

– Nie zdążyłeś mnie poznać? Nie pracowaliśmy razem? Nie balangowaliśmy? Nie zdążyłeś mnie, kurwa, poznać?

Rański cofnął się, prostując na taborecie grzbiet. Odpowiedział cicho i zimno, wbrew sobie.

– Nie miałem takiej ambicji.

– I szkoda – warknął Sebek. – Ciebie tropił Gites, a Wilka psy.

– Wynajął pan policjantów?

– Póki co, są najlepsi. Wystawili mi go jak bażanta. Pojechałem na dworzec, wszedłem na peron, wyłuskałem go z tłumu, zaszedłem z boku, wyjąłem wessona i zgasilem go. Nikt mnie nie zaczepił, nikt mi nie

przeszkodził. Naród stał i patrzył. Spokojnie poszedłem na Brzeską, wstąpiłem do baru, łyknąłem gorzały, zapaliłem skręta i pomyślałem, że nie jest źle.

– Wierzę, że tak pan pomyślał, panie Pasławski. – Rański sięgnął za siebie po płaską walizeczkę na szyfr i położył ją na stole. – Ale tak nie jest. I nie będzie.

Odblokował zamek i wieko otworzyło się automatycznie. Sebek przykrył je dłonią i zatrzasnął. Rański chciał coś powiedzieć, ale Sebek go ubiegł.

– Nie oszukujmy się, rejent. Trochę pogaruję. Ale nie za długo. Taki układ. Chyba popełniłeś błąd.

– Nie rozumiem? – Rański ustawił walizeczkę na sztorc, chroniąc się za nią jak za tarczą.

Sebek uśmiechnął się szelmowsko.

– Rzecz jest zblatowana, kumasz? Teraz ja cię zapytam, co ci przyszło do głowy? Chciałeś przeskoczyć, rejent? Kogo, kurwa? Sebka?

Sebek przespacerował się wokół stołu, kręcąc z niedowierzaniem głową. Podeszedł do drzwi i w nie załomotał. Do środka wszedł strażnik. Sebek przywołał do siebie Rańskiego, ten zbliżył się na długość oddechu.

– Nie miałeś u mnie źle. Potrzebowałeś dziwek, były dziwki. Potrzebowałeś mety, mogłeś wybierać. Skasowałeś brykę, miałeś moją. Rznąłeś, jadłeś i piłeś, ile dusza zapragnie. Niczego ci nie wymawiałem. Z kasą, przyznaję, bywało różnie, ale u mnie też. Lubiłem cię na swój sposób. I Gites cię lubił, i Beniek, i kilku innych kumpli. Ale kwity muszą być rozliczone. Kto by to lepiej wiedział od notariusza. Dlatego posłałem po ciebie.

– O jakich kwitach mowa? – zapytał Rański.

– O tych między nami – odpowiedział Sebek.

– To absurd! – Rański nieco histerycznie podniósł głos i zanim ten ton wybrzmiał, pożałował go. Podeszedł do drzwi, jakby miał zamiar opuścić obskurny pokój widzeń, ale stając przed nimi, odniósł wrażenie, że ten zamiar by się nie powiódł. Strażnik wyraźnie blokował je masywnym ciałem. Sebek nie przestawał się szelmowsko uśmiechać. Rzekł przyjacielsko:

– Byłoby dobrze, rejent, gdybyś się zaczął do tej myśli przyzwyczajać.

– Jakiej myśli, panie Paślawski?

– Myśli o karze, jaką sobie wymierzysz.

– Za co?

– Za to, co zrobiłeś. Jestem szajbus, zgoda, zawsze taki byłem. Gdybyś do mnie przyszedł i powiedział: Sebek, chcę mieć twoją firmę, twój cały biznes, tobym pomyślał: Rański to niewdzięczny skurwiel, ale dał mi wybór. Ty mi go nie dałeś.

Sebek odwrócił się plecami. Strażnik zamarł przy drzwiach. Do pokoju przez wysoko zawieszane okno zajrzało spóźnione słońce, wyostrzając ponurą brzydotę wnętrza.

– Chciałeś mieć przyjemność z mojego cykora. Chciałeś mnie widzieć spanikowanego, zbiełałego, upalonego na proch. Nie wiedziałeś, że to nie jest możliwe? – Sebek uderzył z pasją w blat stołu. – Nie wiedziałeś tego?

Rański wyciągnął dłoń ku klamce. Strażnik nie ruszył się z miejsca. Sebek odwrócił się od stołu i skinął głową. Strażnik odstąpił.

– To absurd – powtórzył Rański cicho, już zza progu. Sebek tego nie usłyszał, gdy w chwilę potem odprowadzono go ruchliwym, zsiniałym od jarzeniówek korytarzem do dalekiej celi.

– Co za irytujący absurd – warknął Rański, kiedy wyszedł na umęczoną zimową wilgocią ulicę.

Wizyta w areszcie rozdrażniła go. Propozycja Sebka, by zastanowił się nad wymierzeniem sobie kary, zawoalowana w pogróżce o nierozliczonych kwitach, rozbawiła go raczej, niż przestraszyła. Niczego zabawnego natomiast nie potrafił się doszukać, przynajmniej teraz, na gorąco, w gorszącej relacji, jaka ich sprzęgła i jaka, to nieuniknione, będzie się wzmacniała z dnia na dzień bez względu na wolę ich obydwu.

Rański przeczuwał, że nieprzewidywalność Paślawskiego, jego mitomania i desperacja sprowadzą opresję, przy której despekty, jakich doświadczał dotychczas, mogą się okazać dziecięcą igraszką. Wiedział z doświadczeń innych, ale w jakiejś mierze i własnych, że najtrudniej wydobyć się z sytuacji, w których grozę zastąpiła śmieszność, że wraz z upływem czasu

przeciwieństwa te mają skłonność do nieuchronnej zmiany miejsc, jeżeli człowiek nie znajdzie w sobie woli, by się temu przeciwstawić.

Nie ma nic gorszego niż nonsens oswojony codziennością, pomyślał, przejeżdżając zatłoczone o tej porze skrzyżowanie.

Zdecydował się działać. Roztropnie, ale bez odkładania rzeczy na później. Takie postanowienie oczywiście niczego w jego przypadku nie przesądzało, palców u rąk by brakło, gdyby wyliczyć te, które rozmazały się w rutynie powszedniości, ale, pomyślał dalej, w tym przypadku przewaga decyzji nad jej brakiem nie ulega wątpliwości, więc póki co, zdecydował się działać.

W czasie swoich prawniczych studiów był faworytem sędziego Żabki. Nie wiadomo, co tego czterdziestokilkuletniego wykładowcę prawa konstytucyjnego pociągało w Rańskim, ale jest faktem, że sędzia pokładał w nim wielkie nadzieje. Kiedy Rański dał mu do zrozumienia, że w przyszłości chciałby zająć się czymś neutralniejszym niż prawo konstytucyjne, czymś odporniejszym na polityczną indoktrynację i wymogi tymczasowej racji stanu, sędzia się zdziwił, trochę naburmuszył, może nawet zdystansował, ale nie przestał traktować Rańskiego lepiej niż innych studentów, pობлаżając mu tam, gdzie ze swojej natury i swoich przekonań bywał wymagający, srogi, nieubłagany lub, co gorsze, cyniczny i kapryśny.

Złośliwcy, których na wydziale nie brakowało, sugerowali Rańskiemu, że pozycję faworyta ogólnie nielubianego wykładowcy zawdzięcza swemu seksapilowi raczej niż intelektualnym kwalifikacjom, i było to tym łatwiejsze, że sędzia nigdy się nie ożenił, żadna plotka nie motała go w romanse, a jego niechęć do kobiet bywała wręcz ostentacyjna.

Teraz sędzia Żabka, relegowany z uczelni w roku dziewięćdziesiątym za zbyt bliskie stosunki z ancien régime'em, pełnił wygodną funkcję generalnego wizytatora w stołecznym sądzie okręgowym, której, jak mawiali jego nieprzyjaciele i przyjaciele, nie traktował poważnie. Rański postanowił się z nim rozmówić.

Kiedy uprzejma referentka wyznaczyła nieodległy termin spotkania, Rański, ku swemu zdziwieniu, się spłoszył.

Powiedział, że sprawa nie jest gardłowa i jeżeli mógłby coś zasugerować,

to wolałby kosztem terminu zyskać na czasie rozmowy.

Referentka podzieliła ten pogląd i wyznaczyła spotkanie za sześć tygodni.

– To mi odpowiada – rzekł do niej Rański, a sobie w duchu powtórzył, że postępować trzeba roztropnie, usprawiedliwiając się przed samym sobą z niezdecydowania.

W domu usiadł przed zakupionym kilka miesięcy temu komputerem. Dużo czasu zajmowało mu osvajanie bestii i równie dużo wysiłku, by pokonać nudę, która temu towarzyszyła. Dzisiaj nie było lepiej.

Po kwadransie przesiadł się przed telewizor. Przebiegł pilotem po programach, na chwilę zatrzymał się przy latynoskim serialu, potem tępo przysłuchiwał się rozmowie z jakimś wojewodą. Obejrzał kilka reklam i wyłączył aparat.

Przespacerował się po opustoszałym mieszkaniu. Zadzwoił do starzejącej się w popłochu Afrodyty Bielej z pytaniem o matkę. Odpowiedziała mu, że matka wyszła godzinę temu i powinna już być w domu. Zastał ją u Lubow Kiryłłowny. Zapytał ciotkę o zdrowie i usłyszał wypowiedziane ledwo słyszalnym, rżącym głosem zapewnienie, że wszystko w porządku. Zaparzył sobie herbatę i wyjrzał przez okno na szarzące w zmierzchu popołudnie z rozmazanym konturem sąsiedniego bloku. Znowu włączył telewizor. Teraz nalana, zapowiadająca rychłą starość twarz amantki latynoskiego serialu wypełniła sobą cały ekran, a na drugim programie wojewoda cały czas mówił o tym samym. Jakby czas stanął.

Znowu przespacerował się po mieszkaniu, znowu stanął przed oknem, nie mając wrażenia, że dzień przesunął się chociaż o minutę.

Zadzwoił do Lubow Kiryłłownej i ponownie zapytał o matkę. Wszystko w porządku, usłyszał rżący głos, wszystko w porządku, Aloszeńka.

Wypił herbatę, ubrał się i pojechał na Hożę.

Minął wysoko sklepioną bramę z niezależną od pory roku wonią moczu i dygocącą windą wjechał na czwarte piętro. Drzwi otworzyła natychmiast, jak gdyby spodziewając się tej wizyty, mięsista, pewnym dłutem wyrzeźbiona brunetka.

Rański cofnął się od progu i spojrzał na numer nad framugą. Brunetka

uśmiechnęła się zachęcająco. W mieszkaniu pachniało zmianą.

– A ty kto? – zapytał Rański, gdy brunetka poinformowała go, że Parania kilka dni temu spakowała się i wyprowadziła, nie mówiąc dokąd.

– Ja Irina.

Rański wyszedł. Dziewczyna, nie przestając uśmiechać się zachęcająco, zamknęła za nim drzwi. Rański przywołał windę, a gdy ta z mozołem wspięła się na górę, wrócił do mieszkania. Irina otworzyła drzwi, a stało się to wszystko tak szybko, że uśmiech, którym go pożegnała, nie zdążył zgasnąć na jej twarzy.

Rański w milczeniu powalił ją na łóżko.

Pół godziny później ubrał się, zapłacił i wyszedł. Dziewczyna dopadła go w bramie i oddała mu pieniądze. Co do grosza. Przyjęła je z przyzwyczajenia, wyjaśniła przestraszona nie na żarty swoją nieuwagą. Rański przyjął pieniądze nie bez satysfakcji, ale kwadrans później, klucząc bez celu ciemnymi już ulicami śródmieścia, pomyślał, że nie powinien grać roli, którą mu ktoś przypisał. To, że dotychczas nie było go w żadnych obsadach, że spektakle szły bez jego udziału, że w nielicznych zdarzało mu się nieledwie statystować, nie znaczyło, że ma przyjąć każdą propozycję.

Tego wieczoru był tam i tu. Gdy nocą wracał do domu, miał wrażenie, że ktoś śledzi go z innego samochodu.

W Alejach ostro docisnął pedał gazu, dwukrotnie przeskakując opustoszałe już skrzyżowania na czerwonym świetle, ale szary polonez bez momentu zawahania w poczuciu bezkarności zrobił to samo.

Przez następny tydzień bezmyślnie snuł się przed południem po domu, a po południu po kancelarii. Nie miał nic do zrobienia, ani tu, ani tam. Brak zajęć, rozmów, terminów był deprymujący. Postanowił nie ukrywać przed sobą, że brakuje mu Sebka i jego pretorii.

Na przetrawieniu tego odkrycia i dwukrotnym wyjeździe na narty do Zakopanego minął mu miesiąc.

Wieczorem, w dniu poprzedzającym jego wizytę u sędziego Żabki, matka podała mu list od Zosi Ronnert.

– Byłabym zapomniała – rzekła głosem, który sugerował, że wcale tak nie



jest.

Zosia napisała, że jest jej przykro, ale nie jest w stanie ukrywać prawdy. Słowa „przykro” i „prawda” powtarzały się kilkakrotnie, a między nimi, jakby mimochodem, że propozycja wuja wydaje się w jej sytuacji najsensowniejsza, że dwuletni pobyt w Nantes pozwoli jej podciągnąć język i zarobić pieniądze, które uniezależnią ją od ojca, że byłoby jej miło zobaczyć się raz jeszcze, gdyby to jednak nie było możliwe, to ściska i przeprasza, i jak tylko urządzi się we Francji, to da znać...

– Co pisze Zosia? – zapytała matka.

– Że ma się dobrze – odpowiedział Rański.

Matka przeszła kuchnię tym swoim zdumiewająco lekkim, dziewczęcym krokiem i reflektując się w drzwiach, zapytała:

– Wysłała ci list, żeby o tym powiadomić?

– O czym, mam?

– Że ma się dobrze

– To w jej stylu. Kiedy ma się źle, nie pisze.

– Bo jest świetnie wychowana – matka zawróciła w drzwiach – delikatna i świetnie wychowana. Doceniasz to, Aleks?

– Naturalnie, mam.

– Odpiszesz jej?

– Chcę to właśnie zrobić.

Matka spuściła głowę i owijając się grubym, wielkim swetrem, rzekła tak jakoś tragicznie:

– Jesteś mądrym chłopcem.

Rański spojrzął w swoim pokoju w lustro. Odbiło opaloną na nartach, zimną twarz z coraz mocniej zaznaczającymi się kośćmi policzkowymi. Nie po raz pierwszy zauważył, że z upływem lat jego policzki i szczęka coraz głębiej rzeźbi kałmuckie dłuto. Z niezapalonym papierosem między wargami położył się na łóżku. List od Zosi go przejął. Ze względu na matkę. Oczywiście wyłącznie ze względu na matkę. Ale im bardziej się o tym przekonywał, tym mniej był tego pewien.

Starał się być oszczędny w słowach, tak jak uczył go sędzia, gdy

w zapuszczonym gabinecie wielkości tramwajowej zajezdni opowiadał o swoim związku z przedsiębiorcą transportowym Paślawskim.

Starał się być precyzyjny, kiedy opisał siebie zamotanego w siatkę niewiele w istocie znaczących przysług, uprzejmości i wygód.

Starał się być lakoniczny, wyprany z emocji, gdy usprawiedliwiając się ze swego apetytu na zawodową szansę dla debiutującej kancelarii, zaczął, on, człowiek chłodny, ostrożny, wręcz wyrachowany, poświęcać samego siebie.

Spoglądając na zaśnieżoną od papierosowego dymu boazerię za szerokimi plecami sędziego, opowiedział, jak w miarę pączkowania zleceń, zrazu żartem, od niechcienia, dla zgrywy, Paślawski zaczął go wytrącać z równowagi, miksując nagany z pochwałami, serdeczność z niechęcią, jowialność z chamstwem, jak to zaczęło się coraz nieodwracalniej przechylać na niebezpieczną stronę, zanurzane w odmęty coraz ordynarniejszego szantażu. Jak coraz bezwolniejszy poddawał się opresji, nie znajdując w swojej uległości żadnego oczyszczenia, ekspiacji, sensu. Jak, nie ma co ukrywać, zbieg okoliczności, ślepy los, przypadek zachęciły go do użycia wyobraźni, by zmistyfikować rzeczywistość i wpuścić Paślawskiego w tunel paranoi.

Ale im dłużej mówił, im częściej zawieszał głos, by zastanowić się nad następnym zdaniem, tym bardziej utwierdzał się w przekonaniu, że opowiadając o sobie, mówi o kimś innym i im bardziej jest to w zgodzie z własnymi przeżyciami, tym mniej w istocie prawdziwe. Więc gdy sędzia zapytał go, czy sam to wszystko wymyślił, Rański odpowiedział, że nie, że wszystko, co zrelacjonował, jest najczystsza prawda i dopiero po chwili, reflektując się, zapytał o intencję pytania.

– Pytam o Rosjanina – odpowiedział sędzia.

Rański skwapliwie potwierdził:

– Tak, Nikona Merię wymyśliłem.

– A łagry, więzienia, ucieczki z etapów, Wilka, Kazań?

Rański przytaknął. Pochylił się nad zagraconym biurkiem z polegającymi tu i tam figurkami szachowymi i dodał tajemniczo:

– W jakimś momencie, nie mając pod ręką nazwiska, imię przyszło mi do

głowy pierwsze, powiedziałem: Beria. Beria?, zapytał Paślawski. Nie, poprawiłem się: Meria.

– Meria jest lepiej – przyznał sędzia i zachichotał. Miał ładne sztuczne zęby, a oczy skryły mu się w skośnych, atramentowych szparkach. – Ma pan fantazję, panie Aleksandrze.

– To jeszcze nie wszystko – ożywił się Rański – kiedy zauważyłem, że pod Paślawskim zapłonęło krzesło, gdy opowiedziałem mu o brawurowej ucieczce Merii z etapu w Ust-Ilińsku, pozwoliłem sobie wspomnieć mimochodem, że teraz Meria jest protektorem Kongresu Kadeckiego i Uralskiego Stowarzyszenia „Kołczak”.

– To pan też wymyślił?

– W Rosji nic nie jest niemożliwe, panie sędzio. Ale ja nie słyszałem ani o Kongresie Kadeckim, ani o Stowarzyszeniu „Kołczak”.

– A co na to Paślawski? – sędzia nie przestawał chichotać.

– Mam wrażenie, że tego się autentycznie przestraszył. Na miarę swoich możliwości zna Rosję i na ich miarę ją rozumie. Domyślił się, czym pachną taki Kongres i takie Stowarzyszenie. Wiedząc o moim pochodzeniu i historii rodziny, uznał mój kontakt z Nikonem Merią za potwierdzony, a awans bandyty z kazańskiego przedmieścia do czarnej elity za wiarygodny. Nie jest głupcem. Umie kojarzyć. Jeżeli coś wisi w powietrzu, on wie o tym pierwszy.

– Na to pan liczył, panie Aleksandrze?

– I nie zawiodłem się, panie sędzio.

Rański wyprostował się na krześle, obserwując z narastającą nieufnością rozbawienie sędziego.

– Mówiąc serio – powiedział, patrząc gdzieś w bok – mnie to nie bawi.

– Serio? – sędzia wytłumiał w sobie śmiech i nie szło mu to łatwo – a czy trzeba serio? Po co zaraz serio? A życie, panie Aleksandrze, to jest serio? Serio to są szachy. Swoją drogą grywa pan w szachy?

Rański pokręcił w odpowiedzi głową. Przez chwilę przyglądał się, jak sędzia mocuje się z własnym rozbawieniem, a potem, jak drobiąc palcami nad skrytą za aktami szachownicą, zbija laufra. Starał się przypomnieć sobie cokolwiek z wykładów sędziego, jakąś ważną myśl, sentencję,

prawniczy chwyt, jakiś konkret, ale nic nie wracało poza pamięcią, że były krótkie, a może nie tyle krótkie, co szybkie, cyniczne, skrzzące się lekko przychodzącym dowcipem, że na wykładach tego mrocznego i nielubianego człowieka zawsze był komplet, że nuda, matka całej prawniczej propedeutyki, i ich ojciec, tumor, przechodzili bokiem.

– Co mam zrobić? – zapytał Rański, przypatrując się dużej, apoplektycznej, upstrzonej brodawkami twarzy sędziego, która zastygła w naciąganej powadze i niechętnym namyśle.

– Nic – odpowiedział sędzia.

Nic w życiu, a więc i w prawie nie jest takie, jakim chcielibyśmy to widzieć. Wszystko jest kwestią interpretacji. Absurd wpisany jest w nasze poczynania bez względu na intencje. Trzeba więc raczej kpić niż się nadymać, śmiać się, a nie trapić, wydłużać dystans, a nie skracać, bawić się życiem, by ono nie bawiło się nami. Stąpać zawsze po najslabszej linii oporu, gdyż z zadanego sobie mozołu, a już nie daj Bóg, udręki, nie wynika żadna dzielność, mądrość czy szlachetność, a pierwszeństwo hecy nad zadumą jest bezdyskusyjne. To zdawały się mówić oczy sędziego spoglądające z przyjaźnią na surową, zaognioną twarz Rańskiego.

– Wystarczająco długo kręcę się po tym świecie – rzekł sędzia, sunąc hetmanem ku krawędzi szachownicy – żeby wiedzieć, że wszystkie rzeczy tak czy owak rozwiązują się same. A tu mamy jeszcze do czynienia z bardzo fortunym zbiegiem okoliczności.

– Na czym on polega? – zapytał Rański.

– Na tym, że wszyscy są zadowoleni – odpowiedział sędzia. – Pański chlebowca, bo zaspokoił swoją miłość własną. Nasze nieopierzone państwo, bo może skarżyć się swym obywatelom i światu, że jesteśmy brutalnie penetrowani przez moce zła ze Wschodu. Służby specjalne tego państwa, bo to uwiarygodnia ich istnienie. Gazety, bo mają o czym pisać. Nawet Rosjanie, bo tego nie zdementowali. Dogodził pan wszystkim.

Rański rozejrzał się po bezkresnym, zaniedbanym gabinecie i jakby nagle przytłoczony jego wielkością, powiedział z rezygnacją:

– Tylko nie sobie.

– Świat nie jest urządzone, panie Aleksandrze. Gdyby pańskie poczucie winy czy choćby niezręczności mogło go urządzić, wcale bym go w panu nie tłumiał. Ale ono go nie urządzi.

Sędzia wyciągnął się w fotelu, mimo tuszy po chłopsku kościsty i żyłasty.

– Zapytał mnie pan, co ma w tej sytuacji uczynić, i ja panu najuczciwiej, jak potrafię, odpowiadam, że nic. Jako człowiek, prawnik i, mam nadzieję, że się pan nie obrazi, stary przyjaciel.

Wychodząc z gabinetu, Rański usłyszał za plecami nieutrzymany na uwięzi chichot. Odwrócił się, spojrzał na sędziego. Ten zawołał:

– To wszystko jest bardzo zabawne. Proszę to sobie raz jeszcze wyobrazić. Nie zawiedzie się pan!

Zgodnie z sugestią sędziego Rański raz jeszcze to sobie od początku bardzo porządnie wyobraził. I się zawiódł.

Nie znalazł w mistyfikacji niczego zabawnego. Co więcej, teraz, z perspektywy dwóch miesięcy, które od niej minęły, i rozmowy z sędzią Żabką, wydała mu się płaska, szczeniacka. Nie mógł sobie przypomnieć, jaką nadzieję poza przyjemnością mógł z nią wiązać. Przyjemności zresztą też nie było, a jeżeli była, to jej nie zauważył, a co to za przyjemność, której się nie zauważa.

Uzmysłowił też sobie, że tunel paranoi, o którym wspomniał sędziemu, ma jak każdy inny dwa wloty.

Powiedzmy, że do jednego z nich wpuścił Sebka, ale czy przy drugim nie stoi on sam?

Przeżywał wychłodzone dni. Chłódł od środka. Chłodny z natury, cierpiał, kiedy pod wpływem agresji, chamstwa, pospolitości rozpalala się w nim neurotyczna gorączka, kiedy pąsowiał, potniał, rozżarzał się i marzył w fali samonapędzającej się, męczącej emocji. Mawiał sobie wtedy w duchu: szczypta chłodu, panie Boże...

Teraz byłby skłonny poprosić o żar. Bo chłód był pustką.

Póki co, uczucie pustki teraz, po wizycie u sędziego, miał wrażenie, że już nieodwracalne, próbował rozpędzić zajęciami mającymi pozory sensu, ale bieg wydarzeń nie przyniósł zadośćuczynienia nawet tak skromnemu

oczekiwaniu. Kancelarię odwiedzała jakaś drobica z poświadczeniami testamentów, umów, świadectw, konkurencja po przeciwnej stronie ulicy dwoiła się i troiła, kuria milczała, nuda tężała w sinym od papierosowego dymu powietrzu, koszta lokalu, sekretarki, telefonu, faksu ledwo bilansowały się z zyskami i każdy mijający dzień utwierdzał Rańskiego w przekonaniu, że wybierając sobie fach, dramatycznie chybił. Zima wlokła się niemiłosiernie, zawieszona ciągle między późną jesienią a przedwiośniem, od kwartału niezdecydowana, co ze sobą począć, zapowiadająca od czasu do czasu srogość, odgrażająca się na przykład mrozem, który z godziny na godzinę, ni z tego, ni z owego czmychał chyłkiem przed kolejną falą deszczu urozmaiconego efemerycznymi płatkami śniegu. Miasto przerabiało to na zacieki, liszaje, trąd, rujnując wzruszające czasami starania, by obchodząc się bez tradycji i pieniędzy, za pomocą sztuczek i zaklęć zmienić socjalistyczną szarość w łunę kapitalizmu.

Tu i tam nawet się to udawało. Piękniały miejscami elewacje, rozjaśniały się witryny sklepów, konstytuował się jakiś efektownie brzmiący bank, w zapuszczonych podwórkach wykwitowała, czasami tylko na chwilę, jakaś egzotyczna restauracja, ale Rański, snując się najczęściej bez celu zapchanymi niemieckim, holenderskim lub belgijskim złomem ulicami, stwierdzał, że falstarty prędzej lub później wyczerpią miasto, które z ukrywaną, a może nieukrywaną ulgą zastygnie w skorupie brudu, niemocy i biedy, jak te żółto-czerwone autobusy trzęsące się w konwulsjach komunikacyjnego paraliżu.

W końcu marca odeszła w szpitalu przewieziona tam na swoje ostatnie dni Lubow Kiryłowna.

Cała zima zapowiadała ten koniec, ale gdy nastąpił, smutek Rańskiego był głębszy niż ten, który sobie wyobrażał podczas najpustszych z pustych dni. Będzie mu brakowało wspomnień ciotki, które mimo że znał jak swoje, będą już zawsze obce. Będzie mu brakowało zadziornych rozmów, wspólnych papierosów, chwil wspólnego milczenia. Będzie mu coraz bardziej przykro, że tych chwil było mniej, niż być mogło, że mogły być czulsze, niż były, i że już niczego nie można naprawić.

Dzień pogrzebu, już u zarania kwietnia, stanął wreszcie pogodny i pastelowy mimo zimna, z zapachem wiosny.

Na prawosławny cmentarz przyszło kilkadziesiąt osób. Większości z nich Rański nie znał. Po dłużącej się ceremonii, kiedy ludzie nieśpiesznie zaczęli się rozchodzić, wymieniając uśmiechy, szepty, uściski, do Rańskich podszedł miły starszy pan, przedstawił się nazwiskiem, którego Rański nie dosłyszał, i kryjąc artretyczne dłonie w rękawiczkach, odprowadził ich w milczeniu do bramy. Wyciągając rękę do pożegnania, zapytał, czemu właściwie Lubow Kiryłowna zamieniła bajkowe Benevento na ponure, zawsze niedogrzone praskie mieszkanie.

– Żeby być bliżej Rosji – odpowiedziała natychmiast matka.

– Skąd mama to wie? – zapytał Rański, gdy kwadrans później wbijali się autem w kolejne zakorkowane skrzyżowanie.

– Powiedziała mi o tym.

– Ilekroć ją o to pytałem – Rański poczuł napływającą falę irytacji – wykpiwała się jakimś żartem.

– Byłam z nią bliżej – skwitowała matka.

Nie cierpiał w niej tego przekonania o ostateczności wszystkich jej sądów. Nie cierpiał w niej arbitralnego zawłaszczania Rosji i wszystkiego, co się z tym pojęciem łączyło.

Kilka dni temu, beczynnego popołudnia po obiedzie, po herbacie z konfiturami, po makowcu, nie znajdując niczego w telewizji, siedzieli naprzeciw siebie w fotelach i patrzyli głucho ponad swymi głowami. Śnieg jak manna kasza zawiewał okna. Matka zaproponowała, żeby poczytać na głos Czechowa.

– W oryginale? – zapytał Rański.

– Niekoniecznie – odpowiedziała matka, wstając z fotela – tak ładnie czytasz, Aleks.

Rański odpowiedział, że nie lubi Czechowa. Zna go i nie lubi. A też nie ceni, ani jako człowieka, ani pisarza.

– Nie bawi mnie jego humor – wycedził – nie martwi smutek, nie zdumiewa pracowitość. Był uzależniony od pisania jak ja od nikotyny. Kto to

widział, żeby młody w końcu człowiek tłukł opowiadanie za opowiadaniem, dramat za dramatem, które różnią od siebie tylko tytuły. Jakby niczego innego w życiu nie było. I ta irytująca, zboląła twarz, okropne, ostentacyjne binokle ze zwisającymi na wszystkie strony sznurkami... Nie mógł sobie sprawić czegoś stosowniejszego? W końcu Goremykin też był krótkowidzem. I, o ile pamiętam, Bunin.

– Antonowi Pawłowiczowi nie zwisały żadne sznurki – odchrząknęła mu wtedy matka – Anton Pawłowicz nie zamierzał nikogo rozbawiać, zasmucać ani tym bardziej zdumiewać. Anton Pawłowicz, będąc w twoim wieku...

Rański przerwał jej ostro:

– Proszę nas nie porównywać, mamó. Bardzo proszę.

Wstał z fotela i w chwilę później rozeszli się do swoich pokojów.

– Nie sądzę – warknął Rański, wjeżdżając w blokowiska Ursynowa.

– O czym mówisz, Aleks? – zapytała matka, a Rański po chwili zastanowienia, a może po prostu tylko po chwili odpowiedział, że właściwie o niczym.

Bo też miał wrażenie nie od dzisiaj, że rozmawiają z matką o niczym. On ją pyta o nic, a ona mu nic nie odpowiada. Ich rozjarzające się coraz częściej kłótnie też były o nic. Rański nie mógł sobie przypomnieć, by jakikolwiek przedmiot ich sporu tak naprawdę go obchodził. Odmawiał jej racji, chociaż nie zawsze, musiał to przyznać, był pewien własnej. Na przykład coniedzielny, przedpołudniowy letarg, w którym zaczytywał na śmierć gazetę futbolową. Challenge krajowych i europejskich lig, historie z życia boiskowych idoli, wojny w zarządach klubów, trenerskie animozje, niebotyczne transfery, sprawozdania z obojętnych mu meczów, opinie tępych osiłków dowodzących chuligańskimi klubami kibica, płaskie komentarze, toporne felietony, żulerski język, złośliwości, podstępny, nierzadko plugastwa, cała ta knajacka chojrackość włóczyły go po obszarach mu nienawistnych, znieczulając jednak na beznadzieję niedzielnego przedpołudnia.

Gazeta futbolowa pokumała go z najwredniejszym rodzajem pospolitości.

W kontaktach z Sebkiem i jego kompanami górował nad pospolitością, ujarzmił ją, dawał jej odpór, w najgorszym razie umiejętnie ją omijał;



pospolitość gazety futbolowej uważał za oswojoną, gdyż w każdej chwili mógł ją odłożyć. Ale nie odkładał. Ani w niedzielne przedpołudnia, ani w łóżku grubo po północy, gdy piłkarska wyliczanka miała przywołać sen, ani po przebudzeniu, gdy jej lektura dzieliła czas między wstaniem z łóżka a porannymi ablucjami.

Nawet nie zauważył, kiedy gazeta futbolowa stała się jego jedynym słowem czytanim, najczęściej kilkakrotnie, gdyż nic z tego nie był w stanie zapamiętać. Przepływało to obok w formie mgły, waty, magmy.

Nie potrafił sobie przypomnieć, gdzie znajdował spokój i siłę, kiedy nie bez uniesień pokonywał kolejne stopnie literackich i filozoficznych wtajemniczeń, jak to się działo, że strona po stronie dawał się prowadzić koryfeuszom wiedzy i talentu, otwarty, uważny i ufny. Jak to przeminęło i z czym? Z wiekiem, ambicją, brakiem ambicji, dostatkiem?

– Mądrość mnie męczy – odpowiedział matce, gdy wchodząc do pokoju ze stosem wyprasowanych koszul, zapytała, czy nie ma doprawdy niczego mądrzejszego do czytania niż sportowa gazeta.

– I nudzi – dodał, gdy matka zaczęła układać koszule na półkach.

– Tylko zewnętrżność – warknął po chwili. – Wbrew wszelkim pozorom.

Matka popatrzyła przez ramię na wychłodzoną do spodu twarz syna.

– Mądrość cię męczy? A to coś nowego, Aleks. Jak to możliwe? Mądrość może zdumiewać, onieśmielać, nawet budzić lęk, sama tego doświadczyłam, ale jakże może męczyć? Albo nudzić?

– Jeżeli jest się figurą zewnętrżną, to może. Mądrość nie ma punktu zaczepienia z powodu szlabanu na wewnętrżność, rozumie mama. Więc ślizga się jak po szkle. W końcu rozbija się, dekonspiruje, wyczerpuje, stając się zaprzeczeniem samej siebie. W ten sposób jedno unicestwia drugie. Kolejność jest tu bez znaczenia.

– Mój Boże... – westchnęła matka.

– Z roku na rok, z miesiąca na miesiąc, z dnia na dzień jestem coraz nieodwracalniej poza sobą. Ma się rozumieć, zajęty sobą, ale z zewnątrz. Z zewnątrz, mamó. Nie mogę przestać siebie obserwować. Z braku innych zajęć to wydaje mi się najbardziej... pouczające. Na przykład zdarza mi się

być sobą zaskoczonym albo że siebie nie rozumiem. Bywam też sobą oczarowany lub z siebie dumny. Ale zawsze z zewnątrz. Dlatego moje sądy o sobie samym są kategoryczne i ostateczne. Więc kiedy mówię, że męczy, to męczy, kiedy mówię, że nudzi, to nudzi. Czy mama to zrozumiała?

– Co, Aleks?

– To, co powiedziałem.

– Nie.

– A starała się mama?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– I Bogu dzięki. Byłoby mi przykro, gdybym naraził mamę na tak płonny wysiłek. Bez urazy. Opowiedziałem to kiedyś księdzu Konstantemu, gdy chciał mnie namówić na Dunsza Szkota, i zapytałem, czy mnie zrozumiał, odpowiedział, że nie. A na pytanie, czy starał się zrozumieć, odpowiedział, że bardzo. Było mi przykro.

– Że nie zrozumiał?

– Nie, że się starał. Chronię się w cieniu, mamó. Chronię się w cieniu.

– To z powodu czasów – odpowiedziała matka zza skrzydła szafy, z twarzą zwróconą w jej głąb. – Przecież widzę.

Nie odkładając gazety, zapytał, o jakich czasach mówi.

– Czasach bez idei – odpowiedziała. – Tak na dłużej nie da się żyć.

Przypomniał matce, że w Sowietach żyć się też nie dało, chociaż idei nie brakło.

– Gdzieżeście się nie obrócili, tam była idea. Kroku nie można było zrobić, by nie potknąć się o jakąś ideę. Tylko kto mógł, to wiał.

Matka, starając się panować nad sobą, odpowiedziała mu, że nie było takiego nieszczęścia, takiej nikczemności, takiej biedy, brudu, choroby i takiej opresji, od której wolna by była jej ojczyzna, ale zapewnia go, że jak Rosja niezmierna, to żaden młody, zdrowy na umyśle i ciele człowiek nie spędzał życia, czytając w nieskończoność tę samą sportową gazetę. To nie do pomyślenia, Aleks. W tej strasznej Rosji było jednocześnie za dużo piękna i szczęścia, tak, Aleks, piękna i szczęścia, żeby to było możliwe. Ludzie byli ze sobą, nawet w złości i zdradzie, nawet jeżeli nie mogli, i powiem ci, że

częściej nie mogli, niż mogli. Tu, teraz, mogą, ale nie są. Ludzie mieli ogórki i wódkę, kobiety miały ochotę, a mężczyźni siłę. Kiedy to było możliwe, to czuło się urodę świata. Kiedy to nie było możliwe, to się żyło myślą, że kiedyś będzie. I powiem ci, Aleks, że nigdy tak nie było, żeby nie było. Może ci się to wyda nieprawdopodobne, ale z tego, co pamiętam, a dwunastoletnia dziewczyna pamięta wszystko, tam każda rzecz miała swój smak. Jedna gorzki, jak czuszka, jedna dymny, jak bielomor, a inna znowuż rzewna jak romans. A wszystko dlatego, że nic nie było zostawione samemu sobie. Nic, Aleks. Żadne piórko, okruch, żaden najmniejszy pyłek, wszystko miało swoją przynależność. Nie jestem kobietą wykształconą, ale wiem, że taka przynależność to właśnie idea. Tu jej nie ma.

– Wy, Rosjanie, jesteście ostatnimi ludźmi, którzy mają prawo mówić o idei – rzekł Rański i natychmiast tego gorzko pożałował.

Nie po raz pierwszy, więc cisnął gazetę precz i zapytał bez ironii:

– Co mama proponuje?

– Zaśpiewajmy – odpowiedziała bez namysłu i młodo, wręcz dziewczęco przykucnęła obok fotela syna, opierając wiotkie dłonie o drewnianą poręcz.

Była już starczo krucha i ciągle dziewczęco lotna. To zastanawiające, ale im bardziej szła w lata, tym bardziej, chciałoby się rzec, do początku, choć droga ta, jakżeby inaczej, nie była czysta. W jej gibkości było coś dwuznacznego, co nie pozostawiało Rańskiego zupełnie obojętnym.

– Poczytajmy, pośpiewajmy – zachnął się i umknął z fotela. – Co mamy, niby, pośpiewać?

– Co zechcesz, Aleks – połasiła się matka. Uniosła ramiona, pozostawiając za nimi małą głowę baletnicy.

To jest o jeden szept, pomyślał Rański, za blisko, o jeden gest za podstępnie i odrzekł, że nic nie chce.

– I to jest problem – matka podniosła się, wyprostowała, stwardniała w jednej chwili na stal.

Rański wycedził przez zęby:

– Nigdy nie mówiłem, że go nie ma.

Zrobiło mu się wtedy matki żal. Właściwie to zrobiło mu się żal siebie,

a przez siebie i matki. Ale na niedługo.

Jaki to nieprzyjemny i w gruncie rzeczy prymitywny człowiek, pomyślał jakiś czas temu, kiedy matka, przyjmując na cotygodniowym pasjansie Afrodytę Białą, ogłosiła, że osobista przyzwoitość uniezależniła raz na zawsze Włodzimierza Iljicza od niegodziwości rewolucji i że dowodem na to są jego dni ostatnie.

I nieczuły, dodał w duchu, gdy matka do następnego dnia niewyzwolona z gniewu o Czechowa powiedziała podczas późnego śniadania, że przy całym smutku, jakim napawa ją odejście Zosi, nie może nie przyznać, że ją rozumie.

– Kto takie rzeczy mówi własnemu synowi? – powtarzał rozzłoszczony, przypatrując się tego samego dnia chłamowi sprzedawanemu na rozprzestrzeniających się jak zaraza straganach. Jak tak można, dziwił się, zajmując miejsce przy kontuarze nowo otwartego pubu. Prawdę powiedziawszy, wszystkie puby w mieście były nowo otwarte. Rański nie pijał piwa, więc zamawiał colę lub wodę, ale lubił świeżość tych miejsc i cały idiotyzm prowincjonalnego plagiatu.

– Jak tak można?

Można, nie można, co za różnica. Nie to w końcu było ważne. Ważne było to, że Rański ginął w oczach od pustki.

Zdarzają się rzeczy gorsze niż pustka, mawiał sobie, ale nie potrafił samego siebie przekonać.

– Jakby cię już nie było, Aloszeńka – obmacując go, stwierdzała Irina.

W przeciwieństwie do Rańskiego z tygodnia na tydzień nabierała substancji.

Odwiedzał ją w czwartki. Płacił, Irina skrupulatnie przeliczała pieniądze i natychmiast je oddawała. Rański przyjmował już bez protestu. Odwrotnie niż Parania, Irina mówiła bez przerwy, bez związku i najczęściej bez sensu. Ale tak jak odpowiadało Rańskiemu milczenie Paranii, tak polubił gadatliwość Iriny i gdy, bardzo rzadko zresztą, cichła, Rański czuł się zawiedziony.

Opowiedziała mu o ojcu swojej matki, Wagile Aspazjanie, który w latach

sześćdziesiątych był głównodowodzącym flagowych budów komunizmu, a gierojskie szlify zdobył u ojczulka Bierzina w syberyjskim Dalstroju.

O jego żonie Kławdii, pierwszej solistce operetki w Permie, której po ślubie zabronił występów, zmuszając ją pod groźbą rewolweru do zajęcia się domem i dziećmi.

O matce swego ojca, Akulinie, chłopce z sowchozu wieidińskiego pod Riazaniem, której nie udało się nauczyć ani czytać, ani pisać, pracowała z prosiętami w chlewni, a w wolnych chwilach uczyła się na pamięć różnych numerów telefonicznych, choć sama nigdy w życiu nigdzie nie zadzwoniła, i nim dobiegła trzydziestki, знаła ich już kilkaset, budząc zdumienie i podziw okolicznych. Aż raz zawezwało ją NKWD i przesłuchało na okoliczność tych numerów, i poprosiło, by dała sobie spokój, a numery dla swojego dobra zapomniała jak najszybciej. Babka w pełni podzieliła ten pogląd, ale gdy już opuszczała urząd, z przyzwyczajenia, bez złej woli, zapytała śledczego: A twój numer, kochanieńki, to niby jaki? Dostała piętnaście lat kolonii karnej na Uralu.

– Pomyśl sobie, Aloszeńka – westchnęła Irina – piętnaście lat. Przecież to całe życie. Całe życie.

Opowiedziała o swoim ojcu Tichonie, który przepięknie grał na harmonii, niczego w życiu się więcej nie nauczył, ale grał pięknie, w związku z czym został za protekcją dziadka Wagila referentem do spraw kultury w budapeszteńskiej ambasadzie, nim nie pochłonął go na śmierć młody węgierski riesling.

– Pięknie grał Tichon Tichonowicz – westchnęła Irina – przyjemnie było posłuchać.

– Co było jeszcze przyjemne? – zapytał pewnego czwartku Rański, przypatrując się odkrytej, wysokiej, mocno sklepionej piersi dziewczyny. – Co przyjemnego pamiętasz?

– Dzieciństwo i młodość w Budapeszcie – odpowiedziała Irina. – Wszystko, co się z tym miastem wiąże.

– A co się wiąże z tym miastem?

– Ojciec, szkoła, rzeka, mosty...

- Pytam o przyjemność.
- To były przyjemności, Aloszeńka.
- Co?
- Na przykład Szirmai Istvan.
- Kto to jest Szirmai Istvan?
- Ulica, którą chodziłam do szkoły, a potem na uniwersytet.

Przechodziłam ją w poprzek i nigdy nie mogłam się jej nadziwić.

- Taka co? Piękna? Duża? Bogata?
- Nie mogłam się jej nadziwić ani sobie, kiedy ją przechodziłam. Nie, nie była duża.
- A pieprzenie?
- Pieprzenie też było przyjemne.
- W Budapeszcie?
- Tak, pieprzenie w Budapeszcie było bardzo przyjemne.
- Czemu nie robisz tego dalej?

Dziewczyna obróciła się na bok, plecami do Rańskiego. Jej łopatki i linia kręgosłupa stawały się niewidoczne pod grubiejącą z każdym tygodniem warstwą tłuszczu. Powiedziała szeptem, do poduszki:

- Przecież robię.
- Chodzi mi o to, czemu nie pieprzysz się za pieniądze w Budapeszcie. Czemu jesteś prostytutką w Warszawie?
- Nie mogłabym być prostytutką w Budapeszcie.
- Dlaczego?
- Skąd mogę wiedzieć – szepnęła Irina do poduszki.
- Słucham? – Rański uniósł się na łokciu i zaglądnął dziewczynie w twarz, przez ramię. Irina odpowiedziała po chwili, zasłaniając się prześcieradłem:
- Nie, nic...

Rański opadł z rozmachem na plecy. Sięgnął za siebie po papierosa. Trzymając go niezapalonego między wyprostowanymi palcami i przypatrując się, jak leciutko drży, rzekł głucho:

- Pytam się, bo całe moje świadome życie to było uganianie się za przyjemnością. Nie, nie uganianie się, oczekiwanie...

– I co, doczekałeś? – zapytała dziewczyna spod prześcieradła.

– Tak, Irina, doczekałem się – odpowiedział głucho Rański – ale spełzła na niczym.

– Jebał ją pies, jak spełzła. Nie żałuj jej.

– Żałuję siebie.

– A mnie byś pożałował?

– Bez problemu.

Irina odrzuciła prześcieradło i pochyliła się nad smagłym, chudym torsem Rańskiego.

– Pytam serio. Pożałowałbyś mnie, Aloszeńka?

– Jak siebie – odpowiedział Rański. – A nawet bardziej.

– Pożałuj bardziej.

Dziewczyna nakryła sobą Rańskiego, jakby to ona żałowała, i Rański miał wrażenie, że zaraz utonie w jej obfitości. Czuł intensywny zapach potu niezgaszony dezodorantem i mlecze ciepło bijące od bladego, mocnego ciała. Zatęsknił za beznamiętną, bezwoną, milczącą konstrukcją Paranii i za jej niemą twarzą ze szklanymi oczami. A może nie zatęsknił, tylko je porównał, konstatuując, że porównanie wypada na niekorzyść dużej, bezbronnej i wzruszającej Iriny, która go nie wzruszała, choć powinna.

Świadom tej powinności, zrobił, co mógł, oszukując ją kiepsko udawaną serdecznością. Irina na to poszła i rozplakała się po ludzku. Rański po ludzku gładził jej szorstkie, ciemne włosy.

Bezsilna czułość to coś, co kiedyś opanowywało go często. W dzieciństwie na przykład, kiedy biernie świadczył powszechnemu cierpieniu zwierząt sadystycznie, brutalnie lub tylko bezmyślnie traktowanym przez miejscowych.

Kiedy niemo współczuł łagodnym, zimnokrwistym koniom pozostawionym przez Niemców, używanym teraz ze względu na wrodzoną roztropność i niebiańską cierpliwość do zrywki drzewa w okolicznych lasach, które z najlepszą końską wolą poddawały się, nie tylko z braku wyboru, rygorom bestialskiego traktowania, jakże innego niż to, które było ich doświadczeniem, ich końską pamięcią o przyzwoitości.

Kiedy na zdegradowanej ulicy Młyńskiej, pokonywanej codziennie w drodze do szkoły, obdarowywał łaszące się przez sztachety psie kościotrupy swoim drugim śniadaniem, którego brakowało już w połowie ulicy, mimo że dzielił je najsprawiedliwiej, jak potrafił.

Kiedy ciągle zniewalające urodą miasteczko, heroicznie broniące się przed słowiańskim bezładem, wypełniał grudniowy lament amatorsko szlachtowanych świń.

Kiedy wszystko, co nie było przypisane mniej czy bardziej wydumanemu obowiązkowi, zrywało się do panicznej ucieczki na widok tego potwora, błazna, karła, nikczemnika i idioty, człowieka już, niestety, tutejszego.

Kiedy z zaciśniętym gardłem odnajdywał ogołoczone z gałęzi kilkudziesięcioletnie lipy i kasztany, kiedy pejzaż z nagłą otwierał się na pustkę po stuletnim świerku, kiedy dzikie wino dawało w końcu za wygraną, odpadając bezsilnie od ścian, a ostatnie ogrodowe gazony z wijącymi się między nimi bukszpanowymi alejkami pokryły zagony buraków i kartofli.

Wtedy zawładła nim bezsilna czułość, tym czulsza, im bezsilniej przyglądał się wszelkiej przewadze nikczemności nad bezbronnością, i tym bezsilniej, im czułość była czulsza. Wraz z upływem lat zaczęło to w nim wygasać, jakby czułość zmęczyła się bezsilnością, a bezsilność otępiła w niemocy i zamarła w bezruchu wobec czułości.

Ale teraz, kiedy gładził szorstkie włosy Iriny i końcami palców muskał pulchniejące z tygodnia na tydzień policzki, ten stan się w nim przypomniał.

Była bezradnym, leśnym perszeronem, psem na stalowym drucie z brzuchem przyklepionym do kręgosłupa, oślepionym kotem, nadmuchaną przez słomkę żabą, zmasakrowanym przez rówieśników szczurem, którego nie odważył się wziąć w obronę, zrąbaną w szczycie lata lipą wraz z zapachem i ptasimi gniazdami, srebrnym świerkiem powalonym na podwórzu sąsiadów, była bladoniebieskim, nadmiernie wyrosniętym chłopcem, któremu na przystanku zabrano tranzystor, a ten, dzielny poza granicę własnych możliwości, nie potrafił jednak ukryć wstydu i rozpacz – tkwiących w Rańskim, przypadkowym świadku, głębiej i na dłużej być może niż w tym chłopcu.



Była wszelką marnością, cierpieniem i bezbronnością. A jeżeli nie była, to zapragnął ją taką uczynić, by wziąć odwet na całej swojej przeszłej bezsilności.

Dwa dni potem, nieumówiony, odwiedził Irinę, by zaproponować jej powrót do Rosji. Dziewczyna, upewniwszy się, że Rański nie żartuje, wpadła w panikę.

– Za co mnie prześladujesz? – krzychała. – Czy ty wiesz, co znaczy być prostytutką w Permie?

Rański odpowiedział jej czule, że nie musi być prostytutką, że wyobraża ją sobie jako właścicielkę niedużego sklepu, z polskimi kosmetykami na przykład.

– W Permie?

– Chociażby.

– Jak? Kiedy? Za co?

Rański rozczulił się swoją czułością zupełnie, odpowiadając dziewczynie, że mógłby jej pomóc, przynajmniej na początku.

– A Wadik? – znowu krzyknęła Irina, chwytając się desperacko pierwszego argumentu, jaki jej przyszedł do głowy, jak tonący chwyta się pierwszej lepszej gałęzi. – Co powiem Wadikowi?

– Wadik to kto? – zapytał Rański, zadzierając w górę brodę dziewczyny. – Alfons?

Irina potwierdziła bez wahania.

– Pod czyją kryszą?

– To nie moja rzecz, Aloszeńka. Nie prześladuj mnie.

– Ale wiesz? – Rański coraz wyżej zadierał podbródek dziewczyny. Mentorski gest był w opozycji do czułego tonu i ta dyferencja stanowiła przyjemność samą w sobie.

– Wiem – szepnęła Irina. – Notariusza.

Rański opuścił dłoń. Ale dziewczyna jakby tego nie poczuła, wspięta na palcach z zadartą twarzą.

– Notariusza?

– Tak mówi. Znasz go?

Spojrzał w lustro tak, jak kiedyś lubił, z dystansu, z boku, zniechęca. Odbiło niewysoką, suchą, zwartą, w istocie cholernie niebezpieczną w swych możliwościach sylwetkę i ładny, rosyjski profil.

Nie miał w sobie nic z ciężkiego, dupiastego, słowiańskiego draba, nie przypominał tych zakutych w skóry, miało się wrażenie – zaraz eksplodujących, byków.

Nie był od pały, kastetu, kałasza, ale od sztyletu i trucizny. Od sztyletu i trucizny, czemu nie. Gdyby włożył białą koszulę z wysokim kołnierzykiem, agatowe spinki, wzorzysty krawat, gdyby kamizelkę wypchnął mu rewolwer, to z tą swoją zręcznością i wytrawioną, okrutniejącą twarzą mógłby chodzić jako Bayard Negresco z marsylskiego przedmieścia albo jakiś inny łaciński Lopez Julia.

O stepie nie pomyślał, bo się zawstydził.

Zapytał, obejmując mocno dziewczynę:

– A ty?

Nic nie odpowiedziała.

Na dole warknął do siebie:

– Notariusz... zabawne.

Ale tak nie pomyślał, nie rozbawiło go to. Objając się o przechodniów, zajął się czymś innym: czułość uwolniona od bezsilności, przynajmniej w jego przypadku, zaprzeczyła samej sobie, gdyż nie jest uczuciem, a demonstracją, tym mniej delikatną, im mniej oczekiwaną. Koniec końców wszystko, co nas dopada, dzieje się z jakiejś przyczyny. Chłód, obojętność, samotność, wpędzając go w pustkę, wręcz go w niej zaryglowując, jednocześnie go chronią. Tylko przed czym i przede wszystkim po co? Próba odpowiedzi na to pytanie zajęła go tak bardzo, że nie zastanowił się nad ważniejszym: skąd się wzięło kłamstwo alfonsa?

Co się tyczy Paranii natomiast, to w maju wybrali się z matką na Moisiejewa do opery i gdy kandelabry rozblęły na przerwę, Rański kątem oka zauważył bardzo młodą, wytworną kobietę, która mogła być Paranią. Towarzyszył jej gość w średnim wieku, z wąsem, masywnym karkiem, z knurzym łbem i stosowną do tego sylwetką.

Rański postanowił zwrócić na siebie uwagę kobiety, więc gdy wraz ze swym partnerem przechodziła obok aluminiowego stelaża z rozpostartym na nim afiszem, strzelił z palców, jak miał w zwyczaju, gdy nie mógł sobie czegoś przypomnieć, ale kobieta przeszła niewzruszona.

Jak na Paranię wydała mu się trochę za wysoka i za szczupłą, jej twarz była za ostra, spojrzenie wolne od sennej bezwładności, a gesty upozowane. Rański jednak bardziej był skłonny wierzyć przecuciu niż pamięci. Zastanawiając się, jak czasami niewiele zapamiętuje się z drugiego człowieka, przyjął, że wystudiowana kobieta, którą obserwuje, jest Paranią.

– Kogo wypatrujesz? – po antrakcie zapytała zniecierpliwiona matka.

Rański zawahał się, po czym odpowiedział szeptem:

– Żebym to ja wiedział, mamó.

Następnego dnia włóczęga po mieście przywiodła go przed witrynę biura podróży „Russkaja Skazka”. Było to biuro, w którym rok temu wykupił nieudany rejs po Wołdze. Ale biuro nazywało się inaczej, wyglądało inaczej, inaczej pachniało, a w środku inna dziewczyna innym tonem zapytała go, w czym może mu pomóc.

– Może mi pani sprzedać wycieczkę po Wołdze – odpowiedział Rański, nie mając najmniejszego zamiaru tam się wybierać.

– To akurat nie jest możliwe – dziewczyna uśmiechnęła się, Rański się ucieszył.

Biuro wyglądało efektownie, stos lśniących wołzańskich katalogów zachęcająco, dziewczyna nie gorzej. Wyjaśniła Rańskiemu, że obydwa statki, wahadłowo kursujące po rzece od Kazania po Wołgograd i odwrotnie, mają już komplety, że większość miejsc wykupili turyści z zachodniej Europy, a nieliczna pula przyznana Polsce wyczerpała się przed Nowym Rokiem.

– Nie upieram się – powiedział Rański i wyszedł, ale zaraz wrócił i zupełnie tym niezainteresowany zapytał, kto decyduje o puli miejsc dla Polaków.

– „Volga Travel” – odpowiedziała dziewczyna.

– Co to jest „Volga Travel”?

– Właściciele statków, o ile wiem.

– Rosjanie?

– O ile wiem, tak.

– Proszę wpisać mnie na listę rezerwową – zaproponował Rański, nadal nie mając zamiaru ubiegać się o miejsce na żadnym ze statków.

Dziewczyna odpowiedziała z chłodną uprzejmością, że nie może tego zrobić, gdyż nie ma listy rezerwowej.

– Nazywam się Rański!

Dziewczyna przestała się uśmiechać.

– Jestem wnukiem generała Artioma Kiriłłowicza Rańskiego, męczennika rosyjskiej wojny domowej. Właściciele „Volga Travel” wiedzą, czym była rosyjska wojna domowa i kim byli jej bohaterowie. Oni są z Kazania?

– Bardzo możliwe – zniecierpliwiła się dziewczyna.

– A może z Saratowa? Nikołajewska? Astrachania?

– Może – odpowiedziała surowo dziewczyna.

– Skądkolwiek by byli lub nie byli, wiedzą, że wnukowi generała Rańskiego się nie odmawia. Pani też! – podniósł głos, miło zaskoczony swoją złością. – Pani też to powinna wiedzieć!

Dziewczyna zaniemówiła. Jej milczenie nie wynikało teraz z obrazy, ale z niepewności, nawet może lęku. Czasy były dziwne, strony dzikie.

Rański rzucił na kontuar wizytówkę. Dobrze było mu w złości. Uległość dziewczyny go zawiodła. Rzekł przez zaciśnięte zęby, podtrzymując w sobie gniew, który, miał podejrzenie, zaraz gdzieś czmychnie.

– Najpóźniej za tydzień zawiadomi mnie pani, że na jednym z wołżańskich statków została przyznana mi kabina klasy pierwszej – trzepnął dłonią o kontuar i dodał jeszcze surowiej – w pierwszej połowie lipca, jeżeli chce pani zachować tę robotę.

Dziewczyna, wyciągnięta i bardzo ładna, zakłęła się w milczeniu. Rański wyszedł, ociągając się, ale zaraz wrócił, by strzelić drzwiami tak, że o mało nie wyskoczyły z futryny.

Idąc za ciosem, kilkadziesiąt metrów dalej grzmotnął koszem na śmieci o jezdnię, a w pobliskim nowo otwartym banku zrobił awanturę o godziny zamknięcia. Na Mokotowskiej wpadł do pustej restauracji. Zamówił kolację.

Czekał długo. Podano mu jakieś półżywe owoce morza i zmrożony na kość bukiet surówek. Jedno i drugie nie było jadalne. Rański, cały czas w uderzeniu, znalazł na podorędziu najplugawsze określenia charakteryzujące jedzenie, knajpę, obsługę, miasto i czasy. Przyjęte to zostało ze zrozumieniem. W każdym razie sprzeciw zwalistych, wybyczonych, znudzonych pustkami kelnerów był bardziej niż umiarkowany.

Wprawdzie użyli siły, by pozbyć się kłopotliwego gościa, to jednak oględność, z jaką to zrobili, zaświadczała o ich niepodważalnym szacunku dla każdej kategoryczności.

W domu rozbolał go brzuch. Zażył pigułkę clonozepanum, popił resztką wina z butelki i zanim ściał go sen, mruknął wbity twarzą w poduszkę: Jest dobrze.

I było.

## VI

Z każdym tygodniem Sebek Pasławski szpanował w areszcie mniej i w proporcji do tego coraz mniejszy spotykał go szacunek, uznanie, podziw.

Chłopaki z bezpieki już go nie odwiedzały, Lanca był obcesowy i coraz wynioślejszy, zmieniający się jak w kalejdoskopie współwięźniowie obojętni. Na rutynowe, nic nowego niewnoszące przesłuchania nie wiozła go już wzmocniona ochrona. Gazety go już nie wspominały. Przepastnemu aresztowi śledczemu Sebek spowszedniał.

Mieszkał teraz w czteroosobowej celi z miłym, dystyngowanym panem pod sześćdziesiątkę, który kolejny miesiąc czekał w areszcie na rozprawę oskarżony o jakieś tam przekręty finansowe. Dwie pozostałe prycze były wolne. Dystyngowany pan opowiadał Sebkowi o swoich podróżach muzycznych w czasach, gdy pełnił funkcję kierownika w jednym z państwowych impresariatów artystycznych, i gdy się już dotarli i polubili, dystyngowanego pana zabrano do innej celi, a celę Sebka uzupełniono trzema małolatami podejrzanymi o rozboje, wymuszenia i morderstwo.

Sebek nie był dla nich terra incognita, znali go z łaźni, świetlicy, spacerniaka i być może z każdym mijającym dniem narastała w nich chęć do konfrontacji z legendą tego powszedniejącego i podupadającego pistoleta. Los dał im okazję. Teraz mieli go w swojej władzy, z której zresztą nie od razu zaczęli korzystać.

Przejście od atencji do nonszalancji nie trwało długo, ale odbyło się tak płynnie, że prawdopodobnie sami tego nie zauważyli, a wyrafinowanie wyostrzające tę zmianę nie było, ponad wszelką wątpliwość, świadome.

Mieli to we krwi.

Sebek, opowiadając im jak innym o tym, jak ostatecznie załatwił jednego z najślawniejszych ruskich zeków, nie zauważał coraz ironiczniejszych uśmiechów zaciemniających banalne, na swój ordynarny sposób urodziwe

twarze młodych łotrów, tak jak nie wyczuwał w ich pytaniach coraz jawniejszej kpiny.

Mówił im właśnie o gościach z безпеکی, którzy rozmawiali z nim z obowiązku, ale potem już wyłącznie dla przyjemności, gdy usłyszał, jak najmłodszy z łotrów wrzasnął ni z tego, ni z owego: na kibel!, i Sebek zawiesił głos między żartem a własnym zdumieniem.

Rozpędzony nie od razu zamilkł, ale kiedy tak się już stało, kiedy słowa zamarły mu w krtani, młodzi rzezimieszkowie już go mieli.

– Na kibel, cwelu! – warknął już bez śladu błazenady największy z nich. Wskazał popękana muszlę z całą geografią żółtych zacieków, od której teraz, podczas czerwcowych upałów, ciągnęło jednolitym, głuchym smrodem.

Sebek nie przesiadł się na kibel, ale też nie został przy stole.

Wyteżając cały swój koncept, rozprowadził groźny nastrój małolata po podmiejskiej swojackości, więziennej sztampie, podchwyczonej grypserze i małolat – już okrutny, podstępny, już odpowiednio tępy i wypreparowany z jakiegokolwiek duchowości, ale jeszcze tak czy owak zielony – po chwili wahania odpuścił.

Sebek, przypatrując mu się ostrożnie z pryczy, milczący i już nieodwracalnie pokonany, wiedział, że następnym razem gnój nie odpuści.

Wiedział to też Rański, przed którym Sebek nie potrafił ukryć, że jego pozycja w areszcie zmieniła się na gorsze. Nic zresztą nie musiał ukrywać, bo było to po nim widać jak na dłoni, jak i to, że obecność notariusza, chciał czy nie chciał, powitał z ulgą.

Dlatego powiedzenie zarazem prawdy i nieprawdy przyszło Rańskiemu łatwiej, niż myślał. Ale nim tak się stało, kilka dni wcześniej o rozmowę poprosił go Gites. Przybył z nieznaných stron. Do pustej o tej porze hotelowej kawiarni, a było wczesne przedpołudnie, wniósł swój głodny wygląd.

Usiedli naprzeciw siebie, zamówili po kawie, odczekali swoje. Po kwadransie obwąchiwania się Rański poprosił, by powiedział, co ma do powiedzenia.

– Nie w dwóch zdaniach – odparł Gites. Pachniał yardleyem, w jakim gustował Sebek. Na palcu miał ozdobny kastet.

– Rzecz jest jak niedomknięta szuflada – zaczął konfidentycznie i pochylił się do Rańskiego. I ile się pochylił, tyle Rański machinalnie się odsunął. W kawiarni było pusto i przestronnie, ale Gites widać chciał dotrzymać obietnicy nakazanej mu dyskrecji. Dlatego nie mogąc mówić głośniej, mówił wolniej.

– Ludzie z miasta uważają, że trzeba zamknąć tę szufladę. To nie jest rzecz do odkładania. Co miało szczeznąć, nie szczezło, co się miało rozejść po kościach, się nie rozeszło. A Sebek sam sobie winien. Każdy rozumie szajbę, kto by jej od czasu do czasu nie doświadczył, komu by ona od czasu do czasu nie odbiła, ale to musi mieć jakiś punkt oporu. Sebek swoje lata ma, wiedział, w co idzie. Ludzie z miasta mówią tak: Kazań daleko, za Moskwą, za Wołgą, pod Uralem. Ani ludzie stamtąd nie mają interesów tu, ani ludzie stąd tam. Nic się nie krzyżuje, nic się nie wymienia. Osobne światy. Ale jak nie domkniemy szuflady, to się wymienią. I skrzyżują.

Gites rozejrzał się wokół. Swoim zwyczajem wtulił głowę w obłe, wąskie barki, oplótł się palcami i mimo oporu, jaki postawiła szczerze dopięta koszula, kamizelka, garnitur, złota spinka przy krawacie, wrócił do siebie takim, jakim zapamiętał go Rański.

– Rosjanin padł tutaj. Gość, który go zgasił, chełpi się tym. Ludzie z miasta słuchają tego beczynn timer. Nikt nie robi żadnego ruchu. Tak nie może być. Ludzie z miasta mówią tak: przyjadą z Kazania i zawrzasną: chuj wam do tego, był Nikon czy nie było, Meria nie Meria, zwali go Wilkiem czy nie zwali. Nie wam to rozsądzać, wam to zakończyć. Ludzie z miasta nie będą mieli zdania racji, jeśli rzecz się nie dokona. Musi się dokonać. Taka kolej.

Rański zapłonał, ale tylko na moment. Jakby tlenu zabrakło. Był kontent ze swojej obojętności, choć jej nie rozumiał. Zapytał nonszalancko:

- Co powstrzymuje ludzi z miasta?
- Pan, panie sędzio.
- Słucham?
- Nie wiedzą, kim pan jest.
- Notariuszem.



– Nie wiedzą, kim pan jest w tej sprawie.

Rański wstał od stolika. Podszedł do kelnerki przypominającej glistę wyjętą z formaliny i poprosił o rachunek. Kelnerka zapytała, czy wspólny, Rański odpowiedział, że osobny. Nie usiadł już przed Gitesem. Nie odniósł się już do niego, ale do istoty rzeczy.

– W tej sprawie jestem wszystkim.

– Powtórzę im to – Gites był uprzejmy i skrupulatny.

– Proszę też powtórzyć, że podzielam ich przekonanie o potrzebie zatrzaśnięcia szuflady. To się mieści w moim rozumieniu porządku, normy, zasad i hierarchii. Zajmę się tym. Przy okazji, jest takie kurskie powiedzenie: kniaź wypił, bradiaga się zatoczył.

Gites pokiwał głową. Szli bark w bark wysokim holem.

– W Kazaniu też je znają. Napomknij o tym ludziom z miasta, gdybyś miał wrażenie, że nie doceniają tego, co powiedziałem.

Na hotelowym parkingu równocześnie otworzyli swoje auta, Rański pogiętą, przypominającą puszkę renówkę, Gites otchłannie czarnego, wypolerowanego, przechodzonego mercedesa z anteną jak pióropusz.

– Pozwól na chwilę, Gites – zawołał Rański, opuszczając szybę od strony pasażera.

Gites wysiadł z mercedesa. Wsunął głowę w otwór. Rański powiedział:

– Kazań nie jest pod Uralem – włączył silnik i dodał cicho: – Jest bliżej.

Ludzie z miasta nie byli dla Rańskiego tajemnicą, gdyż nie byli tajemnicą dla nikogo. Odwrotnie, zależało im na transparentności. Genetycznie skłonni do agresji, jednoznacznych brutalnych rozwiązań, wrodzy wszelkiemu dzieleniu włosa na czworo, jak każda nieopierzona mafia rwali na skrót do pieniędzy, wpływów, władzy, znajdując sojusznika w neurotycznym, rozdartym historycznymi podziałami, zajęтым własnymi fobiami, beznadziejnie słabym państwie i, jak nie bez racji sądzili, zwycięskiej demokracji.

Nic im nie stało na drodze. Byli, bo tak chcieli, nieostrożni, ostentacyjni, gówniarsko brawurowi. Media pełne były ich bezkarności. Nie karmili się podstępem, konfabulacją, intrygą. Nie wyróżniała ich lisia przebiegłość czy

nawet wilcza nieustępliwość. Nie doświadczyli jeszcze niepowodzeń, bandyckiej opresji, nie przeorały ich klęski, nie starli się jeszcze z przeciwnikiem i nie byli w stanie go sobie wyobrazić.

Walili na odlew, na chama, przy podniesionej kurtynie. Choć większość z nich minęła trzydziestkę, a takich, którzy dobiegali pięćdziesiątki, też nie brakowało, to jednych i drugich, przy całej nikczemności i niebotycznym chamstwie, cechowała jakaś beztroska chłopięcość. Jakby się jeszcze nie nażyli.

Gites nie mógł być ich wysłannikiem, a wykładnia niepokojów, jaką Rańskiemu przedstawił, nie była rodem z ich wyobraźni.

Jeżeli nie przybył od nich, zastanawiał się Rański, klucząc bez celu rozgrzаныmi ulicami, to od kogo?

Podejrzanie, że od demonizowanych służb specjalnych, dziwacznej w istocie i przez to nieprzewidywalnej hybrydy, depozytariuszy starego porządku i młodych funkcjonariuszy trawionych neoficką gorączką, nie zagościło na długo w myśli Rańskiego. Podobnie jak przypuszczenie, że Gites mógł przyjść od samego siebie powodowany chęcią odwetu na Sebku za lata niestałej, chybotliwej przyjaźni i stałych, bezlitosnych upokorzeń, gdyż Gites był człowiekiem, który nigdy niczego nie robił w swoim imieniu, a tym bardziej na swoją rękę. To nie było ani w jego stylu, ani, co ważniejsze, w jego możliwościach. Gites był psem, znakomitym, jak trzeba ostrożnym, jak trzeba zażartym, ale psem.

Przyszło mu to do głowy dopiero późnym wieczorem, kiedy swoim zwyczajem kilka proszków nasennych popił butelką wina. W kwadrans potem jego mózg ożywiła jak zwykle wyjątkowa jasność i rzecz stała się oczywista.

Gites przybył z mistyfikacji. Tej samej, która pochłonęła Sebka.

Historia, którą Rański utkał z nitek frustracji, lęków, strzępów swawoli, pospolitej nudy, zawstydzającej w istocie nieodpowiedzialności, zaczęła żyć swoim uniezależniającym się z miesiąca na miesiąc życiem. I Gites jest już z niej. Trzeba ją zwinąć w kłębek i cisnąć precz, zanim zaczną cuchnąć. To, co miało go odgradzić od Sebka i jego ferajny, a przede wszystkim

wywyższyć, mogło go wpuścić w rynnę, którą już oni płynęli. To idiotyczne i zawstydzające. To drugie wydało mu się nawet dokuczliwsze. Otóż Rański nie potrafił ukryć przed sobą, że bycie nierozpoznanym mu pochlebia. Miał taki moment w rozmowie z Gitesem, w którym był skłonny uwierzyć, że ludzie z miasta zdadzą się na jego decyzję. Były takie popołudnia z Iriną, w których jej respekt napawał go dumą. Odczuwał satysfakcję, kiedy znęcał się nad niepewnością ekspedytora.

– Jeszcze trochę – mruknął do siebie, strojąc przed lustrem miny podpatrzone w gangsterskich filmach – a naprawdę uwierzę, że jestem ważny i groźny. Nawet przed samym sobą nie można się tak kompromitować.

Nie bez związku z tym absurdem było nieznane mu dotychczas uczucie trwogi, które wypłoszyło go z łóżka przed świtem, kiedy ból po psychotropach i alkoholu rozsadzał czaszkę. Ból po godzinie minął, trwoga trzymała go do południa. Była jak czarna chmura, z której nie lunął w końcu deszcz; jak syrena na niepłonący pożar.

Rański postanowił działać. To znaczy wykpić się. Nie upierał się, że najniższym kosztem. Nie bez znaczenia były tu więzienne kontakty sędziego Żabki. Widzenie otrzymał w ciągu tygodnia.

Widok przygnębionego Sebka ucieszył go. Pochylona sylwetka, bladoszara więzienna twarz, wypalone źrenice, powolne, mechaniczne gesty – to było bardzo pokrzepiające.

– Wyjdę na palanta – powiedział Sebek, przypatrując się swoim dużym, spuchniętym dłoniom leżącym bezwiednie jedna przy drugiej niczym śnięte karpie. – Wyjdę na sakramenckiego palanta.

Rański potwierdził to skinieniem głowy.

– Pogodzę się z tym? – zapytał Sebek, a Rański mu odpowiedział, że nie ma wyboru, że będzie mu trudno, ale się pogodzi. Obserwując rezygnację Sebka, dodał bez miłosierdzia:

– Siedzisz bez sensu.

Rozejrzał się po tym samym co poprzednio tępym wnętrzu pomalowanym aż po sufit na olejno, z tym samym wysoko zawieszonym, okratowanym

oknem nieodprowadzającym smrodu męskiego potu, który, miał wrażenie, zawisł tu już na zawsze.

– Co proponujesz? – głos Sebka dobiegł go z daleka, mimo że siedzieli twarzą w twarz przedzieleni nowym stołem, który przy każdej próbie oparcia się o jego laminowany blat kiwał się jak poprzedni.

Rański ożywił się.

– Rozmawiałem z Lancą – skłamał. – Nie ma żadnej koncepcji obrony. To przereklamowana gwiazda. Zadufany w sobie, efekciarz. Lansują go wpływowe koterie, bo czasy potrzebują wielkości, ale to jest lepienie cokołów z gówna.

– Co w zamian? – zapytał głucho, obojętnie, mechanicznie Sebek.

– W zamian czego?

– W zamian Lancy.

– Proponuję siebie.

– Jesteś adwokatem?

– Dobrze wiesz, że jestem notariuszem. Ale chcę cię bronić. Zresztą weźmiemy laufra. Ze względu na procedurę. Rzecz nie w kwalifikacji, tylko w koncepcji. Mam ją.

Pochylił się nad stołem i zaczął mówić, gasząc rozjarzający się w nim ogień emocji chłodem logiki:

– Zabiłeś Rosjanina w obronie własnej. Sugestywność zagrożenia, jakim cię omotałem, była tak mocna, tym samym zagrożenie tak prawdopodobne, że nie miałeś wyboru. Zabiłeś w obronie własnej. To ważne. Cała ta konstrukcja padnie, jeżeli nie wezmę winy na siebie. Ale ja ją wezmę.

Sebek zapytał po dobrej chwili, jak gdyby zrozumienie tego, co rzekł Rański, przyszło mu z trudem:

– Dlaczego?

Bo zdechnę od osamotnienia, odpowiedział w duchu Rański, bo mam dosyć biegu rzeczy obok mnie, bo rola wiecznego statysty zameczyła mnie na śmierć, bo mam tylko jedno życie, bo mam tylko jedno pieprzone życie i jeden pieprzony los, który nie traktuje mnie ciepło.

– Bo nie można inaczej – rzekł głośno.

– Zawsze można – zaproponował gnuśnie Sebek.

Rański jak gdyby na to czekał. Wycodził twardo:

– To kwestia normy.

– Normy? – powtórzył bezwiednie Sebek.

– I zasady – dodał twardo Rański. – I hierarchii, porządku.

– Posadzą i ciebie.

– Jeżeli udowodnią mi, że przewidziałem efekt mistyfikacji – odpowiedział cicho Rański.

– A przewidziałeś? – jeszcze ciszej zapytał Sebek.

Rański potwierdził skinieniem głowy.

– Ale mi tego nie udowodnią.

– Co to zmieni?

– Wszystko – Rański położył swoje nerwowe dłonie na martwych dłoniach Sebka. – Pod jednym warunkiem.

– Jakim?

Rański zacisnął palce na nadgarstkach Sebka. Rzekł z taką mocą, takim przekonaniem, jak gdyby od tego miało zależeć jego życie, a nie życie człowieka, którego postanowił ochronić przed własną fantasmagorią.

– Przystaniesz się upierać, że zabiłeś Nikona Merię.

Sebek powstał z taboretu jak dawniej. Zgaszone oczy zabłysły, ręce zawirowały w powietrzu, wielkie, zgnuśniałe ciało ożywił sprzeciw:

– Chcesz ze mnie zrobić czuba? Chcesz, żebym stanął przed sądem i zaskomlał: jestem sakramenckim, pojebanym czubem. Zgasilem frajera na betonie, bo sobie coś, kurwa, uroiłem, wysoki sędzie. Jak to czub.

Zatrzymał się w pół kroku. I w pół słowa, kiedy chciał jeszcze coś dodać. Z korytarza huknęło drzwiami. Z nieodległej ulicy doszedł wysoki, histeryczny sygnał karetki. Rozjarzył się południowy, miejski upał.

Rański uderzył dłonią w stół. Błat był lepki, dłoń sucha. Cały był suchy, rozgrzany, podniecony, lecz suchy. Jak nigdy.

– A ci dwaj, wtedy, jesienią? – zapytał Sebek. Stał twarzą do okna, plecami do stołu i Rański pomyślał, że rzadko spotyka się ludzi równie barczystych.

– Stepowi? Zbieg okoliczności. Rozwłóczyli się po Europie, trafili do ciebie. Nic z niczym nie miało nic wspólnego. Przyjazd stepowych ze zniknięciem Czeremyszkina, zniknięcie Czeremyszkina ze śmiercią kierowców, śmierć kierowców z wizytą Rosjanina, wizyta Rosjanina z moim wyniesieniem. Jak zwykle chaos. Ale znasz moją skłonność do porządku. Przynajmniej w teorii. Zawsze korzystam z okazji, by ci o tym przypomnieć.

– Postanowiłeś to uporządkować.

– Trafiłeś w sedno, Sebek – Rański przespacerował się wzdłuż ściany. – Trafiłeś w sedno – chód jego był drobny, zręczny, można by rzec, azjatycki. – Sam widzisz, wszystko cię usprawiedliwia. Czego się tkniesz, to cię usprawiedliwia. Nawet to, że nic z niczym nie miało nic wspólnego. Skąd miałeś to wiedzieć? Skąd, u diabła, miałeś to wiedzieć?

– Kogo więc zabiłem? – zapytał Sebek po kilku minutach ośpienia. Własne pytanie też zresztą go nie ożywiło.

Rosyjskiego pajaca, odpowiedział mu Rański, a ściślej, chciał mu tak odpowiedzieć, ale tylko rozłożył dłonie i lekceważąco wzruszył ramionami.

Przypomniał sobie na moment, jak jeden ze stepowych podał mu ogień ze złotej zapalniczki i mimo że myśl ta powinna go zaniepokoić czy przynajmniej zreflektować, to tak się nie stało. Przyszło, odeszło.

Sebek stał już przy drzwiach.

Widać było jego niechęć do opuszczenia obskurnego pokoju widzeń. Być może chciał wrócić do stołu z jakimś pytaniem w uniesionej, rozwartej dłoni, ale strażnik go przyblokował. Rański zatrzymał się w pół kroku. Ktoś zawył potępieńczo w głębi aresztu.

Rozprowadzono ich dyskretnie. Paślawskiego w głąb, notariusza na zewnątrz.

Była połowa czerwca i na ruchliwej ulicy stanął bezwietrzny, pochmurny upał.

– Pajaca – powtórzył Rański takim tonem, jakim przekonujemy się do rzeczy zdecydowanej i nieodwołalnej – zabiłeś rosyjskiego pajaca.

Trzy rosyjskie figury, podejrzanego inteligenta, demonstracyjnego Wielkorusa i bazarowego handlarza, zamknięte w jedno nie wydawały się

Rańskiemu bytami rzeczywistymi. Były mniej żywe niż to, co z nich wynikało po połączeniu w Nikona Merię, który był wymyślony i tak wymyślony umarł nie mniej wymyśloną śmiercią. Figura z właściwościami, ale bez początku i końca, zawieszona w powietrzu, poczęta z kaprysu i kaprysem zdmuchnięta. Jak sznurkowy pajacyk na drucie.

– Pan o coś prosi? – zapytała z drugiego pokoju sekretarka.

– O nic, pani Anno – odpowiedział uprzejmie Rański – mówię do siebie.

Sekretarka stanęła w drzwiach. Popatrzyła bystro na ożywioną i energiczną twarz notariusza. Dawno go takim nie widziała, podobnie jak matka, dzisiaj, przy wczesnym śniadaniu, gdy owijając się szlafrokiem, zapytała:

– Miałeś jakąś dobrą wiadomość? Napisała Zosia?

Tak jak Irina, do której pojechał zaraz po wizycie w areszcie. Po półgodzinie położył jak zawsze pieniądze na stole, Irina, jak zawsze, trochę od niechcienia podjęła je i przeliczyła, a kiedy Rański wyciągnął rękę, by je jak zawsze odebrać, Irina mu ich nie oddała. Przez chwilę obracała banknoty w palcach, po czym wsunęła je do kieszeni kąpielowego płaszcza i rozplakała się.

Przytulił ją do siebie łkającą i rozgrzaną i gładząc po szorstkich włosach, powtarzał: cieszę się, Irinko, wreszcie zmądrzałaś, ale dziewczyny to nie uspokoilo i płakała jeszcze, jak wyszedł, jak stał za drzwiami, przywołując windę w chłodzie przepastnej klatki schodowej, którego nie poruszyło jeszcze czerwcowe ciepło.

– Znowu jakiś egzamin, panie Aleksandrze? – zapytała sekretarka, spoglądając na stos literatury prawniczej, jaką Rański się obłożył.

– Dobrze to pani określiła – odpowiedział Rański – chyba najtrudniejszy w życiu.

Zdarzało mu się, jak każdemu, mówić coś, w co nie wierzył, ale dzisiaj powiedział o czymś, w co wierzył bardziej, niżby chciał.

Karkołomna próba uwolnienia od winy zabójcy, by obarczyć nią kogoś, kogo w całym majestacie i w całej nędzy prawa obarczyć nie można, wydała mu się ekscytująca.

– Przed pana przyjściem dzwonił jakiś człowiek z prośbą o poświadczenie certyfikatu.

– Jaki człowiek? – zapytał Rański, wertując jeden z komentarzy do kodeksu.

– Nie przedstawił się – odpowiedziała pani Anna – przekazał, że może być najwcześniej o szóstej, że bardzo mu na tym poświadczeniu zależy. Był natarczywy.

– Uparł się na naszą kancelarię?

– Takie odniosłam wrażenie.

Rański zakreślił ołówkiem akapit. Rzekł nieuważnie:

– Przed szóstą nie wyjdę.

– Ale ja muszę wyjść o czwartej. Chcę być z córką na tym...

– Nie ma sprawy, pani Anno, poradzę sobie.

– Włożyłam do maszyny nową taśmę.

– Świetnie.

– Naprawdę przykro mi, ale akurat dzisiaj nie mogę zostać dłużej.

– To nie jest problem – Rański uniósł głowę znad książek, jakby coś sobie przypomniał. – Swoją drogą, czy my kiedykolwiek poświadczaliśmy certyfikaty?

Pani Anna przestąpiła z nogi na nogę, ciągle w drzwiach, wsparta piętami o próg. Była wysoką, szczupłą, zawsze nienagannie zaaranżowaną czterdziestokilkuletnią rozwódką. Rański wbrew swoim zasadom dwukrotnie się z nią przespał bez przyjemności, jaką dawały mu prostytutki. Mimo to nigdy nie przeszli na ty.

– Ten człowiek myli dokumenty. Kiedy zadzwonił rano, powiedział, że chce poświadczyć cyrograf. Odpowiedziałam mu, że cyrograf jest jednostronnym zobowiązaniem odłożonym w czasie i że nie podlega notarialnej ewidencji, wtedy poprawił się i powiedział: certyfikat. Ale to może być też cenzura, cesja i wszystko inne.

Rański pokiwał głową i powtórzył:

– Poradzę sobie. Jak córka?

– Raz lepiej, raz gorzej. Teraz jest lepiej.



– Proszę ją uściskać.

– Ucieszy się – pani Anna zaśmiała się szelmowsko. – Kiedyś na ulicy pokazałam jej pana. Zrobił pan na niej wrażenie.

– Serio? – Rański też się roześmiał. – Proszę ją ode mnie mocno uściskać.

Pani Anna wróciła do sekretariatu. Po kilku minutach wyszła.

– Cyrograf – mruknął do siebie Rański – też ludzie mają pomysły.

Zacisnął splecione palcami dłonie na karku i na ile to było możliwe, odchylił się. Obrotowy fotel zakołysał się i zajęczał.

Rański był głodny starcia, walki, konfrontacji, ryzyka, niebezpieczeństwa.

Niewątpliwie wstąpił w niego duch. Nieprzewidywalny, zagadkowy i przede wszystkim nieznan. Cóż może być przyjemniejszego.

Rozpierała go wszelka przyjemność.

Przyjemnie mu się siedziało z palcami splecionymi na karku i wyciągniętymi pod biurkiem nogami wspartymi piętami o podłogę.

Przyjemny był zapach rozgrzanego asfaltu i samochodowych spalin wpędzany wiatrem przez otwarte okno wraz ze zgiełkiem krzątającego się w szczycie dnia miasta.

Przyjemna była myśl o argumencie, jakiego użyje przed sądem na obronę Sebka Paślawskiego: o nigdy nie doświadczonym, przynajmniej w tym stopniu, strachu Polaków przed nieprzewidywalnością, dzikością nie Rosji, ale jej pojedynczych obywateli. Strachu przed młotem, nożem, pętlą, urzysem, kałasem, przed bezładnym okrucieństwem i pogańskim brakiem miłosierdzia.

Przyjemna była myśl, jak on, bękart tej Rosji, w obliczu sądu napompuje tym lękiem nieulekłego Sebka, tym razem nie po to, by go pograć, lecz ocalić.

Ocalić dla siebie, tak jak wcześniej dla siebie go pograżył.

Marnym był prawnikiem, ale nie aż tak, by się łudzić, że pomysł na obronę Sebka przekona sąd o niewinności oskarżonego, ale nie bez podstaw uważał, że bardzo wyrok złagodzi. I nawet jeżeli to też było tylko złudzenie, to sam fakt w nim trwania był przyjemnością. Tak jak myśl o opiece, jaką otoczy Sebka w więzieniu, nawet wtedy, gdy rzecz przybierze jak najgorszy obrót,

i o tym, że słabnący i starzejący się Sebek nie będzie mu mógł jej odmówić.

Ogarnie go, odłączy od kumpli, wyczyści do spodu z wszelkiej szajby, uchroni firmę, pieniądze, kontakty. Ucywilizuje rosyjską ścieżkę, pogoni wiarołomnego Czeremyszkina, nauczy go trzymać łokcie przy sobie, a widelec garbkiem do góry. Zohydzi mu bawełniane garnitury z podwiniętymi rękawami, brylantynę yardleya i płaszcze zamiatające ziemię. Wytrenuje w powściągliwym geście, koncyliacyjnym tonie, uprzejmym chodzie. Przekona do normy, nauczy zasady, przyzwyczai do hierarchii. Wskaże mu jego przeznaczenie, nie narażając na kłopot wyboru, opresję samodzielnej decyzji, gdyż wszystko zadecyduje się za niego, dla niego i obok niego. A gdy to już nastąpi, zrobi to, o co go Sebek poprosił podczas pierwszej więziennej wizyty. Powie mu: jest, jak chciałeś. Kwity są rozliczone. Któż by to zresztą lepiej wiedział niż notariusz i któż by sumiennie to zrobił.

Rysuje się przed nim perspektywa czasu mocnego, męskiego, uodpornionego na wszelki, po stokroć przeklęty neurotyczny syndrom.

Był tak napakowany energią, że po raz pierwszy w życiu zapragnął skonfrontować się z normalnością. W każdym razie myśli o niej nie towarzyszyło przerażenie. Odwrotnie, zapragnął jej posmakować, przynajmniej na próbę. Cóż by szkodziło. Gdyby ograniczył kontakty z rosyjskimi prostytutkami, dowiedział się o losach księdza Konstantego, odszukał we Francji Zosię Ronnert, gdzie zdarzy mu się przyzwoitsza dziewczyna, gdyby rozruszał notariat i co najważniejsze, przestał się kłócić na każdym kroku z matką, gdyby zechciał, jeżeli nie uznać, to przynajmniej zrozumieć jej zarozumiałą, plebejską rosyjskość. Gdyby odnalazł w sobie moc i wolę, by normalność uczynić przyjemnością.

Nawet napełniające go trwogą codzienne życiowe i zawodowe nieuchronności wydawały się przyjemne.

Jak na przykład fakt, że za dwie godziny zapuka do drzwi kancelarii klient, który ją sobie upatrzył, z prośbą o poświadczenie dokumentu, czymkolwiek by on był. Nawet tak nieważny szczegół jak świeża taśma w maszynie do pisania napawał Rańskiego przyjemnością, gdyż rozpierała

go wszelka przyjemność.

Obracał w palcach plastikową zapalniczkę, toczył papierosa, wyglądał przez okno, obserwował odbicie w szybie swojej drobnej, kałmuczej, stepowiej z biegiem lat twarzy, wyciągał się w obrotowym fotelu, aż trzeszczały kości, a przyjemność płynęła przez niego jak gorączka.

## VII

Następnego dnia zawiadomiona o zabójstwie policja przyjechała już po dwóch godzinach.

Słońce nie stanęło jeszcze w zenicie, jak już byli.

Trzech młodych mężczyzn, reprezentantów nowej, rozwielniającej się, podstołecznej rasy. Nienaturalnie rozrośnięci, wielkogłowi, ogoleni do skóry, poruszający się ciężko i leniwie, tak jakoś bez przerwy rozkolebani, umundurowani mimo upału w skórzane kurtki. Porozumiewali się mową niewiązaną, bezładną, zawieszoną na przęsłach retorycznych pytań, którymi bez przerwy się przerzucali.

Na betonowych nogach rozparci po stronie prawa, zawsze blisko linii, bo przecież nie granicy, gdzie wsiąkało ono w otchłań bezprawia, tak, by w każdej chwili można było tę linię przekroczyć.

Zadeptując ślady, przesuwając bezwiednie meble i sprzęty, rozmazując na nich ewentualne odciski palców, roznosząc pod perforowanymi podszewkami adidasów plamę krwi, zajęci byli omawianiem zalet rasowej beemki jednego z nich, zajebanej, ma się rozumieć, w Reichu.

– Wiecie, kto to jest? – zapytał po kwadransie bezcelowej krzątaniny jeden z nich.

– Który?

Wskazujący palec skierował się w stronę Rańskiego, z odstrzeloną połową twarzy rozkosznie wyciągniętego za biurkiem.

– Wiesz, kto to jest, Gany?

Gany zakołysał się. Był z nich najbardziej napakowany i wielkogłowy. Jego zamkniętą twarz natura zaprawiła łojem o wszystkich odcieniach szarości, a stożkowate guzy wysypujące się z barków na odsłonięty kark nasuwały podejrzenie, że groźną zwalistość zawdzięcza nie tylko pożywnej i obfitej kuchni.

– A powinienem?

Ten pierwszy przeczłapał kancelarię, a potem sekretariat. Zapytał, pochylając się bez współczucia nad unieruchomioną przerażeniem sekretarką.

– A nie powinienes?

Gany też znieruchomiał. Trzeci zwałił się na jeden z fotelików przy niskim, politurowanym stole pod ścianą. Powiedział:

– Notariusz.

– Skąd wiesz? – zapytał jeden z nich.

– Pisze.

– Gdzie?

– Na drzwiach.

Sekretarka nie drgnęła, zawieszona jak szmatka na oparciu masywnego krzesła, z dłońmi martwo zwisającymi ku podłodze. Nawet przerażenie nie pozbawiło jej dystynkcji. Trzeci łakomie przypatrywał się zgrabnym, odsłoniętym udom pani Anny.

– Kto tak strzela do notariusza? – zapytał pierwszy, zaglądając Rańskiemu w połowę twarzy.

Gany mu odpowiedział:

– Tak strzelają Ruscy.

– Do notariusza?

– A powiedziałem, że do notariusza? Powiedziałem tylko, że tak strzelają Ruscy. Że to ruska dintojra.

Trzeci dodał, nie przestając przypatrywać się udom sekretarki:

– Wygarnięto mu tak, jakby nie był notariuszem.

– I o to chodzi! – ożywił się pierwszy. – Jak tylko tu wszedłem, to to przewidziałem.

– Że to ruska dintojra?

– Przewidziałem, że to jest koleś – wskazał Rańskiego – z którym będziemy mieli wyłącznie kłopot.

– Bo nie wiemy, kim jest?

– I cwel jestem, jak się tego dowiemy.

Nie było już czego wałkować. Umilkli w upale. Znieruchomieli w tępych oczekiwaniu na fotografa. Nawet Gany pokiwał się, pokiwał i przestał. Było im potrzebne to oczekiwanie. Przyjęli je z ulgą. Czas mijał, fotograf dzwonił co kwadrans, że kliszę mu wcięło i jak ją znajdzie, to się zjawi, a oni go nie ponaglali.

Gany zapytał sekretarkę, czy nie dałoby rady skombinować kawy albo lepiej piwa. Sekretarka nie odezwała się. Gany się spienił, ale na moment tylko. Zgasił go trzeci. Niemrawo, ale chętnie wrócili do rozmowy o beemce. Pierwszy pochwalił się gałką drażka biegów obciążoną cielecą skórką i szpanerskimi kołpakami, w których trzeba było nawiercić otwory i wmutować po dodatkowej śrubie, żeby ich nikt, kurwa, nie doprowadził. Potem zvekslowali na git żarcie u Turka na Kredytowej i wygodzie, co by nie powiedzieć, z ruskimi prostytutkami, u których okazja jest umoczyć na krzywy ryj. Potem o jakimś nowym śledczym z Mostowskich i szansach Legii w przyszłym sezonie. A potem jeszcze o tym i o tamtym, i nie wrócili już do Rańskiego, gdyż nic już nie było o nim do powiedzenia.

Rański był nieboszczykiem niemym, nieznanym, obcym, wyjałowionym, peryferyjnym. I nawet kłopot, jaki tym sprawiał, nie przesunął go ani o milimetr ku jakiemukolwiek centrum. Znów na znanych sobie obrzeżach czekał w obojętności świata na fotografię, protokół, domniemanie, decyzję, orzeczenie.

Doczeka się tego albo i nie doczeka, co za różnica.

Ale szeroko otwarte oko z szelmowską iskrą niezgaszonej przyjemności jakby postanowiło zaprzeczyć kaprysom losu, podstępom przeznaczenia, wszelkiej chimerze opatrności, wołając: Dobrze jest! Jest dobrze!

W dwa tygodnie po przygnębiająco bezludnym pogrzebie syna Swietłana Rańska dostała list z kazańskiego syndykatu rzeczno o przyznaniu Aleksandrowi Rańskiemu, na warunkach uprzywilejowanych, kabiny klasy pierwszej na rzeczonym statku „Imperatorowa Katarzyna” w drugiej połowie lipca.

Uprzedzająco grzeczne, wręcz nadskakujące zawiadomienie podszyto dwuznacznym jednak tonem poufałości, jak gdyby jego nadawca nie potrafił

znaleźć środka pomiędzy nieodległym, radzieckim jeszcze dostojenstwem a prywatnością i kapitalistycznym, jak sądził może, luzem. W liście nie wyjaśniono również, na czym miałyby polegać warunki uprzywilejowane, ale sądząc po rozmowie z agentką biura „Russkaja Skazka” reprezentującego w Warszawie syndykat, uprzywilejowany był raczej sam fakt przyznania miejsca, a nie warunki odbywania rejsu.

Bo Rańska zadzwoniła pod wskazany numer, by poinformować o nagłej śmierci syna. Agentka zachowała się ujmująco, rozmawiała z Rańską jak z bliską sobie osobą, bez zdawkowych słów współczucia powiedziała, że zdążyła poznać pana Aleksandra u siebie w biurze i że sprawił na niej wrażenie człowieka niezapomnianego.

Rańska nie zamierzała zapytać o możliwość zamiany, przyszło jej to do głowy w trakcie przedłużającej się rozmowy, kiedy zdała sobie sprawę z nieodwracalności zdarzeń. Agentka odpowiedziała, że rosyjscy organizatorzy nie dorośli jeszcze chyba do takiej elastyczności, ale że się zorientuje i da odpowiedź najszybciej, jak to możliwe. Do pytania o zamianę skłoniła ją też wizyta u młodego, inteligentnego, pozbawionego złudzeń asesora prokuratury rejonowej, który bez specjalnych ceregieli zapytał ją z kolei, jak by przyjęła uznanie śmierci syna za akt samobójczy. Rańska zapytała, jakie wyniki śledztwa za tym przemawiają, a asesor odpowiedział jej, że żadne, ale wiele by to uprościło.

– Znam efekt – rzekł młody człowiek, bawiąc się długopisem – za rok dostanie pani zawiadomienie o umorzeniu śledztwa z powodu niewykrycia sprawców.

– Dlaczego tak ma się stać? – zapytała Rańska.

– Dlatego że ani policja, ani urząd prokuratora rejonowego nie są gotowi, by cokolwiek innego stwierdzić. Z przyczyn, którymi nie zamierzam pani zanudzać, śledztwo będzie bezkierunkowe, bezładne i bezowocne. Skorzystajmy z okazji, by je zawiesić, to znaczy w praktyce – zakończyć.

– Tak szybko? – zapytała bezwiednie Rańska.

– Jeżeli żadne względy natury formalnej, jak ubezpieczenie na życie, czy prawnej, jak na przykład spadek warunkowy, nie przemawiają za innym

rozwiązaniem, proponuję przyjąć nasze.

– Że mój syn się zabił?

– Otóż to! – ożywił się asesor. – A jeżeli już o tym mowa, pani Rańska, to dlaczego nie miałby tego zrobić?

No właśnie, zapytała siebie w duchu Rańska. Czuła się ogromnie osamotniona w swoim przekonaniu, że Aleks tak namiętnie odcinający się od swojej rosyjskości był w istocie śmiertelnie na tę rosyjskość chory. Toczyła go mianowicie od najwcześniejszych lat larwa skrajnej nieufności wobec cudu istnienia i niechęć, by ten cud uznać za cokolwiek innego niż idiotyczny w istocie przypadek, wobec którego przejaw jakiegokolwiek oczarowania jest dowodem głupoty, nieoczekiwanej przez nikogo pokory.

Rańska czuła się nielojalna wobec syna, nie dlatego, że zapragnęła przyjąć propozycję młodego asesora lub zająć miejsce syna na wołżańskim statku, ale dlatego, że nie potrafiła zdobyć się na rozpacz. Samotna jak palec wdowa tracąca jedyne dziecko nie może nie pograżyć się w smutku.

Mimo prób otchłań nie rozwarła się jednak pod nią, co najwyżej pustka, nicość, które poczęły konserwować ją w uczuciu wolności.

Nie ma już żadnych zobowiązań, nawet wobec siebie. Nic ją już przy niczym nie trzyma. Jest wolna.

Poczucie wolności będące w istocie pustką, tylko korzystnie interpretowaną, bardzo się umocniło już podczas rejsu, wprawiając Rańską w zakłopotanie.

Duch syna nie był przy niej obecny, mimo że bez ustanku go przywoływała. Dzielila się z nim pejzażem, upałem, powietrzem, przestrzenią, wszystkimi swoimi nietrzymanymi na żałobnej smyczy zachwyty, przyjmując fakt jego nieodwracalnej nieobecności. Aleks był jej potrzebny takim, jakim stawał się w jej wyobraźni. A z każdym dniem stawał się bliższy.

Co do podróży natomiast, w której wzięła w końcu udział na warunkach podwójnie uprzywilejowanych w zastępstwie uprzywilejowanego syna, sama przez ten fakt uprzywilejowana, to przebiegała jak najfortunniej.

„Imperatorowa Katarzyna” była ubiegłorocznym „Friedrichem Engelsem”



po gruntownym liftingu. Na statku zmieniono wszystko poza jego kształtem. A kształt miał zawsze imperialny.

Prezentował się więc świetnie. Zabrał też świetną publiczność. Kombatantów bitwy stalingradzkiej z zachodnich landów Niemiec. Może zbyt podochoconych jak na swój wiek, bez ustanku się do czegoś nawołujących, ale z czułością ludzi cywilizowanych, obrobionych, zażywnych, beztroskich. Odnosili się lekko do przestrzeni swojej młodości, przygody, uniesienia, która była przestrzenią barbarzyńskiego zimna, cierpienia i klęski.

Rańska podróżowała obok nich.

Nie odrywała wzroku od rozjaśnionego nieba niezmiernego niczym ziemia brunatniejąca już od kontynentalnego upału.

Minęli Uljanowsk, Siengilej, Kujbyszew, Syzrań. Czas był bezwietrzny i gorący. Dziewiątego dnia poprosiła, by obudzono ją przed świtem.

Na najwyższy pokład wyszła o czwartej.

– Nie możesz tego nie widzieć, Aleks – powiedziała do syna, z zadowoleniem przyjmując jego milczenie.

Słońce omiotło masywne kolumny dworu Trojekurowych na chwałyńskim wzniesieniu. Zabłyły oszukaną bielą i już nie zgasły, mimo że słońce, podnosząc się, zginęło za dwustuletnim parkiem.

– Nie może ci się to nie podobać – dodała.

Po cóż się oszukiwać, nie była ośmioletnią Swietką-trzpiotką z chołmskiego domu dziecka na trzydniowej wycieczce wysłużonym parowcem do jeziora Ilmen.

Ale przypatrując się bezkresowi tego kraju unieruchomionego w suchym astrachańskim wyżu, pomyślała, że wszystko jeszcze przed nią, jak gdyby śmierć syna raczej coś otworzyła, niż zamknęła.

„Imperatorowa Katarzyna” wbiła się za zakolem rzeki w jakiś zapodziany opar, a gdy go minęła zroszona wilgocią, na najwyższym pokładzie nie było już nikogo.

Projekt okładki  
*Justyna Tarkowska*  
*www.milewidziane.pl*

Redakcja  
*Mira Łątkowska*

Korekta  
*Maciej Korbasiński*  
*Elżbieta Jaroszek*  
*Jadwiga Piller*

Copyright © by Eustachy Rylski, 2004  
Copyright © Wielka Litera Sp. z o.o., Warszawa 2017



Wielka Litera Sp. z o.o.  
ul. Kosiarzy 37/53  
02-953 Warszawa  
[www.wielkalitera.pl](http://www.wielkalitera.pl)

Odwiedź  
nas na 

ISBN 978-83-8032-157-1



Plik ePub przygotowała firma eLib.pl  
al. Szucha 8, 00-582 Warszawa  
e-mail: [kontakt@elib.pl](mailto:kontakt@elib.pl)  
[www.eLib.pl](http://www.eLib.pl)